

5

NI PIES NI WYDRA

Właśnie przy brydżu rozmawialiśmy o wzmożonym ogniu artylerii za Pragę, gdy granatnik wybuchł na podwórzu, pierwszy w powstaniowej historii domu przy Śniegockiej 10 i pierwszy odkąd zszedłem na Czerniaków. Posypało się szkło. Bawiąca się na podwórzu kilkuletnia Lola upadła, parę osób umknęło na klatkę schodową, my, brydżyści, odsunęliśmy się od okna. Ktoś wybiegł po Lolę, nic jej się nie stało. Minęła minuta, dwie. Najodważniejsi ostrożnie wytknęli nosy, rozglądają się z progów urzeczeni dziobami na murze. Ledwo nakłoniłem brydżystów, by stali tam, gdzie stoją, to znaczy na korytarzu, a już kilkanaście osób wysunęło się na podwórze, na razie trzymając się blisko ścian. Więc wydzieram się do nich:

- Kryć się! Granatnik... granatnik leci!...

Chowają się do środka. Za chwilę eksploduje następny granatnik. Syn dozorczy, który cofnął się tylko na próg, dostaje w bark.

Skończyły się spaceru. Odtąd chodzi się tylko za interesem i to biegiem. Granatnik okazał się zapowiedzią innych czasów. W ciągu paru godzin odezwała się cała menażeria znajomych głosów ze Starówki. Od dyszkantu i falsetu do sznapsbarytonu. Wprawdzie „krowy” porykują nie głośniej niż poprzednio, za to echo:

- klap, klap, klap, klap, klap, KLAP wtóruje im na Czerniakowie. Sztukasy warkoczą i krążą, nurkują ze skowytem daleko od Śniegockiej. Pociski przelatują górą i spadają gdzieś bliżej Wisły. Nasze bloki nie są objęte obstrzałem. Dźwięk szSZSZ granatników wprawdzie bardzo rzadko słyhać, ale sam fakt, że kilka ich spadło, wytwarza stan niepewności, dający się porównać z chodzeniem boso po ciemku, gdy na podłodze leżą rozsypane pinezki. Dlatego życie towarzyskie pod otwartym niebem ustaje. A oto i „gruba Berta”, królowa broni - wszystkie inne zdają się przycichać, gdy pędzi po niebie. W piwnicy huczy jak w ulu, że Rosjanie uderzyli w kierunku Pragi z wielką mocą. W rejonie Łazienkowskiej odparto natarcie Niemców - według jednych źródeł; według innych - Niemcy początkowo się włamali, ale wyrzucono ich w kontrataku. Duch wśród powstańców jest dobry, nie wystraszeni, ale bardzo podnieceni.

Jeszcze poprzedniej nocy przeniosłem się z noclegiem do

piwnicy, gdzie spali wszyscy lokatorzy. Uległem namowie rodziców, którzy chcieli przynajmniej dla pozorów oddzielić mnie od Edka, z powodu ciągłych zadrażnień pomiędzy nim a resztą mieszkańców domu. Ustąpiłem bez oporu, ponieważ pod oknem było zimno i nie czułem się bezpiecznie.

Od wschodu słońca dzieje się to samo co wczoraj, tylko z większym nasileniem. Napływają wiadomości - wszystkie dobre, ale nie wiadomo, które prawdziwe. Natarcia wzdłuż Łazienkowskiej odparte. Co najważniejsze, że zaraz za Wisłą na Saskiej Kępie rwą się pociski. A w parę godzin później sensacja, że Niemców na Saskiej Kępie nie ma.

Ta ostatnia wiadomość jest takiej wagi, że postanawiamy natychmiast ją sprawdzić. Z najwyższego piętra domu na rogu Śniegockiej i Czerniakowskiej przyglądamy się drugiemu brzegowi.

Dymy się unoszą po naszej stronie i trochę przeszkadzają w obserwacji Saskiej Kępy. O ile można ocenić z tej odległości przez zwykłą lornetkę polową, nic nie wskazuje na to, że po drugiej stronie rzeki wre walka. Ani pożarów, ani kurzawy, co oczywiście nie wyklucza możliwości, że Saska Kępa została zajęta nocą przez Rosjan. Te nadzieje rozwiewa łazik, który powolutku jedzie Wałem Miedzeszyńskim ku mostowi. Wprawdzie trudno odróżnić, czy to niemiecki, ale rosyjski nie odważyłby się ukazać na wale na pełnym widoku Niemców z tej strony rzeki.

Wszystkie źródła potwierdzają, że Rosjanie uderzyli na Pragę. Wprawdzie ognia artylerii z frontu nie słychać, gdyż jest zagłuszony odgłosami walki dookoła, ale powstańcy powiadają, że z wysokich domów przy Wiśle widać kurzawę bitewną kilka kilometrów za Saską Kępą. Gdy kanonada zelżała nieco, Edek wziął Hankę i wybrał się na Zagórną, aby zasięgnąć języka. Nie może usiedzieć w piwnicy i przysłuchiwać się, jak każdy inny.

Postanowiłem, że kręcić się nie będę. Nasza czteropiętrowa, solidnie zbudowana kamienica jest dobrym miejscem na przeczekanie. Najpierw powinni zrzucić bomby na pierwszą linię domów, gdzie mieszczą się wysunięte powstańcze stanowiska. Kiedy zbombardują drugi blok (a nasz jest trzeci), wtedy czas wychodzić ku Wiśle. Jedna bomba rzucona dla postrachu nie przebije się do piwnic, a nie ma powodów, aby się uwzięli na naszą kamienicę jak na Pasaż Simonsa.

W 1939 roku trafiły ją dwie bomby, jedna przy drugiej. Nikt jednak nie zginął, choć piwnica była pełna ludzi, bo zważyło się tylko do

parteru.

Nigdy w takiej dawce nie zaznałem życia piwnicznego. Jakieś spory o przydział sago, którym Czerniaków jest zavalony, tak jak Starówka była cukrem.

Matka, wysłuchawszy moich opowieści, jest zdania, że wymodliła mi życie u Matki Boskiej. Edka zaledwie toleruje, za to Witek przypadł jej do serca, bo ciągle martwi się o swoją rodzinę.

- Pani nie wie, jak to jest okropnie stracić matkę, siostrę i ojca.

Ma powody gryźć się. Przeciekły wieści od niedobitków, że Sadyba, nim padła, została ciężko zbombardowana. Są tam małe wille jednorodzinne. Na tle licznych zalet Witka uwypukla się jedna wada, że stroni od wody, może podświadomie po przygodzie, jaką miał na Podwalu. Nawet nieuleczalni ponuracy ze Starówki, co przeżyli przyjaciół i rodziny, wybuchają chrapliwym śmiechem słuchając smutnej, opatrzonej komentarzami Edka opowieści, jak to Wicio wystawił krzesło i stołek na podwórze, rozebrał się do pasa, odzienie rzucił na krzesło, miskę postawił na stołku i wziął się do mycia, bo był spocony, ale granatnik mu przeszkodził.

„Gruba Berta” znowu pluje co 20 minut. Martwię się o Edka i Hankę. Siedzimy z Witkiem na klatce schodowej, po przeciwnej stronie od tej, z której bije artyleria.

Myślałem, że czarniawa, chropawa twarz Witka, to poparzenie ze Starówki. Okazało się, że powód był inny. Raz w przypiływie patriotyzmu wziął się do produkcji dynamitu. Nalał na patelnię gliceryny, skropił kwasem azotowym i ostrożnie podgrzewał na ogniu. Potem, gdy znalazł się w szpitalu, lekarze początkowo wątpili, czy odzyska wzrok. Zakończyło się dobrze, jedynie twarz pozostała cała w dziobach i musi nosić silne okulary. Młodszy ode mnie o rok, a był już dowódcą drużyny, i to na linii. Pamiętałem go z Woli, jak na czele swego oddziału szykował się do szturm na szpital. Co zostało z energicznego podchorążaka? Strzępek nerwów.

Rozmawiam na podwórku z Wojtkiem Bieńkowskim, gdy granatnik wybucha nie opodal, po drugiej stronie parometrowego muru. Wojtek odruchowo przykuca, choć jest w mundurze, gdy ja, cywil, stoję bez drgnienia. Widząc to prostuje się i uśmiecha zażenowany. Kucanie jest tu powszechne. Zrazu wszyscy kucają, nie można tego odruchu opanować, potem, w miarę otrzaskania się, kucanie przeradza się w „kłanianie się kulom”, aż wreszcie ustaje. Człowiek doświadczony, albo błyskawicznie pada na ziemię, dopóki to jeszcze na coś się przydaje, albo wcale nie drgnie.

Nagle słyszę ten dziwny dźwięk, niby metaliczny, nie do opisania, przypominający odgłos wybuchów pocisków artylerii przeciwlotniczej na wielkiej wysokości. Jakby echo odbijało się w górze od sklepienia niebieskiego i wracało na ziemię.

Ułynęła chwila, nim się domyśliłem. Pojedynek powietrzny. Warkot samolotów. Zakręcały ostro na pełnym gazie. Dotąd słyszało się tylko warkot niemieckich, latających majestatycznie, powoli, nawet nurkujących z umiarkowanym pośpiechem. Zdawało się, że można było odróżnić jaki od meserszmitów. Rosyjskie jakby ostrzej brały wiraż. Sztukasy uciekły, bombardowanie ustało. Radość dotarła ze strychów do piwnic. Rosyjskie myśliwce nad Warszawą! Pierwszy raz! Nie jesteśmy sami!

Edek z Hanką wrócili podenerwowani dopiero po zapadnięciu ciemności. Z powodu silnego ostrzału nie mogli się wydostać wcześniej. Okolice portu Czerniakowskiego płonie - cała zharatana. Pocisk „Berty” uderzył obok palącego się domu i zdmuchnął płomień. Szkoła na Zagórnej przemieniona na szpital, wypełniona. Mój kościół parafialny na Łazienkowskiej - zwalony.

Noc przespałem w zatłoczonej piwnicy, budząc się raz po raz. Zatłoczonej, ponieważ cała ludność przeniosła się tam, gdzie okna wychodziły w kierunku Wisły. Dzień zaczął się tak, jak poprzedni skończył. Zdrażnienia w związku z przydziałem sago i nieustanny ogień artylerii na Czerniaków. We czwórkę usadowiliśmy się na parterze, aby mieć lepszy kontakt z tym, co dzieje się na powierzchni. Widać, ilu rannych wynoszą z Rozbratu, nadarza się okazja porozmawiać z powstańcami, którzy się tędy przewijają. Wiadomości są sprzeczne lub podejrzane. Nie ma innego sposobu sprawdzenia, jak pójść samemu. Na Łazienkowskiej jakoby odparli wiele natarć. Nie takie to znowu wojsko, żeby tak odpierali i odpierali. Coraz to słyhać o jakieś Blaszanice na Przemysłowej. Od „krowy” zapalił się kościół Mariawitów na Szarej i ludzie gaszą go. A jeśli się spali, to co? Zresztą, co tam się może spalić, drewniane ławki? Niemcy dołożą z granatnika, jeśli zobaczą, że się gasi i dostanie się strażakom. Na północy Czerniakowa toczą się walki o Frascati, gazownia przechodzi z rąk do rąk. Tym ostatnim wiadomościom można bardziej wierzyć, ponieważ północny odcinek obsadza „Radosław”. Na zachodzie wzdłuż Rozbratu bez zmian. Znowu ta Blaszanica na Przemysłowej, gdzie to ona jest? Mieszkam tu od ośmiu lat, tyle razy tamtędy chodziłem i żadnej blachy sobie nie przypominam.

Sztukasy już nie krążą nad dachami, nie nurkują, nie wyją; pomykają nad domami w pośpiechu upuszczając bomby. Rosyjskie myśliwce za to zataczają wysokie kręgi. Powietrzną walkę można poznać, gdy kręgi zawężą się do tego stopnia, że warkot przeradza się niemal w pisk. Czasem chrobot kaemu rozlegnie się na wyżynach pod niebem. Jeden z samolotów został zestrzelony. Gdy dymiąc spadał, ci widzieli czerwoną gwiazdę, tamci krzyż maltański. Jedno jest pewne, że bój toczy się o Pragę, jak nigdy dotąd. Rozumiemy, że Niemcy chcą zająć Czerniaków, nim Rosjanie wejdą na Pragę, i dlatego wstrzymali uderzenie na Śródmieście, które nie ma dostępu do Wisły.

Zwołaliśmy radę wojenną, trzecią z kolei. Zwoływaliśmy je, gdy jeden z nas, Edek lub ja, uważał, że należy podjąć bez zwłoki decyzję o wielkim znaczeniu. Naradzaliśmy się we czwórkę. W teorii wszyscy byli równi, w praktyce tylko pro forma pytaliśmy Hankę i Witka o ich opinie, wiedząc, iż zgodzą się z tym, co postanowimy, nie tylko dlatego, że ufają naszemu sądowi, ale że boją się zostać sami. Nasze rozumowanie było następujące. Jeśli Rosjanie atakują Pragę, to znaczy że Churchill i Roosevelt nakłonili Stalina, aby pomógł Warszawie. Wobec słabości Niemców upadek Pragi jest przesądzony, może to nastąpić szybko, może się przeciągnąć i tydzień. Sytuacja na Czerniakowie staje się niejasna, zaczyna się bowiem zamazywać na południu w rejonie ulicy Łazienkowskiej. Tutejsza załoga bardzo słaba i możliwe, że nie wytrwa do przyjscia Rosjan. Zapada decyzja natychmiastowego powrotu do Śródmieścia pod skrzydła Komendy Głównej AK.

Generał Monter, wprawdzie nominalnie tylko komendant garnizonu warszawskiego, ale w rzeczywistości faktyczny dowódca i jeden ze sprawców Powstania, odmiennego był zdania, czemu dał wyraz w oficjalnym Komunikacie Wojennym, który jeszcze dotarł na Czerniaków. Według niego nieprzyjaciel usiłował odepchnąć załogę Czerniakowa od Wisły dla skrócenia sobie drogi wycofania na północ wzdłuż rzeki. Nie po raz pierwszy ocenił on niemieckie uderzenie jako próbę ucieczki. Jakby opłacało się Niemcom toczyć krwawe walki przez parę dni po to tylko, aby sobie skrócić marsz o godzinę lub dwie. Załóżmy, że po opanowaniu Czerniakowa niemiecka kolumna odwrotowa rusza na północ, wpierw usunąwszy przeszkody w postaci barykad i gruzu. Po przejściu przez zgłiszcza Powiśla i rumowiska Starego Miasta kolumna natknęłaby się na polski Żoliborz, który także leżał przy Wiśle i także zagradzał drogę odwrotu

na północ. I dlaczego mieli Niemcy przebijać się na północ, skoro mogli bez przeszkód wycofać się na zachód?

Swym niezłomnym optymizmem i zdolnością przewidywania generał Monter niewątpliwie zasłużył sobie na miejsce wśród kompanów dobrego wojaka Szwejka. Przecież to on, pod wieczór 31 lipca, postraszył swego komendanta Bora, że już prawie za późno na Powstanie, bo Niemcy wycofują się.

Szliśmy tyłami nieparzystych numerów Śniegockiej. W piwnicy najbardziej przykuwał uwagę warkot nisko lecących samolotów. Na ulicy trudno było myśleć o czym innym jak o granatniku. I tu, i tam dominowało napięcie połączone z bezsilnością, przeradzające się w duchowy bezwład. Jak u dentysty pod świdrem. Stosuję te porównania z nadzieją, że pomogą one odczuć, czym jest wojna tym, którzy ją oglądali z odległości tylko trzech metrów między telewizorem a fotelem. Pobyt w gabinecie dentystycznym już od dzieciństwa utrwalił się w umysłach wielu ludzi, zwłaszcza mieszkańców krajów przemysłowo zacofanych, w formie niezapomnianych przeżyć. Samo wyczekiwanie w poczekalni nasyconej zapachem chemikaliów - gdy z przyległego pokoju dochodziło nierówne brzęczenie pedałówki, postękiwania i charkanie - przyprawiało o wewnętrzne drżenie i suchość w ustach. Powstaniec uzbrojony w rewolwer, po kilkunastu godzinach pracy na linii, od brzasku do zmroku, czuł się, jakby spędził cały dzień na fotelu nieprzyjaznego dentysty.

Ze Śniegockiej skręciliśmy na lewo w Czerniakowską. Uderzyło mnie od razu, jak bardzo odległości się wydłużyły. Druga strona ulicy wydawała się równie daleka i mało przystępna jak przeciwległy brzeg rzeki pokrytej cienkim lodem. Koniec Czerniakowskiej przy Ludnej zamazywał się w dymie. Za bazarem wysokie płomienie wystrzeliwały z małych ruder i baraków. Parterowa cukiernia Żmijewskiego na rogu Wilanowskiej stała nienaruszona, ale domy w okolicy skrzyżowania z Okręgiem były całe podziobane.

Posuwaliśmy się wzdłuż murków po zachodniej stronie ulicy, aby mieć osłonę od pocisków nadlatujących z lewej strony. Stare domy między Szarą a Zakładem Ubezpieczeń Społecznych wypaliły się w 1939 roku i z upływem lat rozsypały w gruzy. Ten odcinek najmniej nadawał się do spacerów. Włożyłem na głowę pokrowiec hełmu o wzorze panterki, stalowe pazury wczepiwszy we włosy, ale i tak się ześlizgiwał w szybkim marszu. Edek miał bluzę panterki i niemiecki hełm. Hanka bluzę, Witek bluzę i tramwajarską czapkę, ja tylko

byłem po cywilnemu. Wychodząc z rodzinnego domu włożyłem beżowe ubranie - podarunek komitetu blokowego - i narzuciłem własną granatową jesionkę, bo lato już się kończyło. Doświadczeni żołnierze poznawali we mnie żołnierza po krótkiej rozmowie, ale na to nie mogłem liczyć, gdy sekundy decydowały, więc pokrowiec miał mi teraz pomagać uchodzić za powstańca. Zatrzymali nas w bramie nowoczesnej kamienicy tuż przed ZUS-em. Przejście na Książęcą jest zawałone, odkopują, gaszą, trzeba czekać. (W tej samej bramie stałem 1 sierpnia niepewny, co robić dalej.) Po jakimś czasie wyjaśnia się, dlaczego odkopywanie nie robi postępów: w czerwonym domu na rogu Książęcej po drugiej stronie Rozbratu są Niemcy. Jeden z oddziałów „Radosława” będzie kontratakował.

Kanonada była już taka, jak na Starym Mieście. Budynek, gdzie staliśmy, znajdował się blisko linii frontu i swoim wymiarem i zdrowym wyglądem mógł przyciągnąć uwagę lotników. Słyszało się, a bardziej jeszcze czuło pod nogami, wybuchy bomb w okolicy. Czekających na powrót do Śródmieścia przybywało. Oczywiście ranni powstańcy będą mieli pierwszeństwo i dlatego trzymałem się Edka, żeby nie odpędzili mnie jako łazika. Znowu się okazuje, że czołgi z wiaduktu mostu Poniatowskiego biją po Książęcej i kontratak został odłożony do nocy. Edek przeprowadza intensywną akcję rozpoznawczą rozmawiając z powstańcami, ale dowiaduje się tylko tyle, że kanału pod ulicą Książęcą nie ma. Gdy tak czekamy, aż się odkorkuje, wzmagają się ruch w przeciwną stronę. Prowadzą i niosą rannych i poparzonych. Nie mogłem sobie darować, że nie ruszyliśmy wcześniej - wczoraj, a nawet jeszcze dziś rano droga była wolna. Byłbym teraz w Śródmieściu i przez lornetkę patrzyłbym na Czerniaków. Gdy pierwsze pociski z „Berty” spadły, wiadomo było, na kogo kolej.

Ilekoć warkot sztukasów zbliża się, przepycham się ku wyjściu do bramy, aby móc paru skokami wypaść na ulicę. Jednocześnie nie spuszczam Edka z oczu ani na moment z obawy, że raz się zgubiwszy, nigdy już się nie odnajdziemy. Skrycie wierzyłem w niego, że coś wymyśli, nawet gdy już nie będzie wyjścia. Edek nigdy nie był zasypany i nie zwracał uwagi na warkot samolotów.

Wreszcie się wyjaśnia, że kontrataku w ogóle nie będzie, ponieważ w Czerwonym Domu są nasi, za to Książęca jest zablokowana gdzieś wyżej. Strzelanina się zaostrza, sztukasy rzucają bomby, rosyjskich myśliwców nie słychać. Dalsze czekanie nie ma sensu. Postanawiamy wracać. Witold zarośnięty, czarniawy,

chudy, najwyższy z nas, w tramwajarskiej czapce nasuniętej na oczy, jak zwykle kuśtyka w tyle podpierając się laską. Przy gwiździe małych kalibrów nie zmienia kroku, a niech tylko ryknie „krowa”, czyli - po staromiejsku - skrzyźnie „szafa” albo zawyje „gruba Berta”, Wicio podrywa się do biegu, jakby łyknął wody z Lourdes. Edek lubi opowiadać, jak to Witkowi odłamki w nogach chrupią, ilekroć przyśpiesza kroku.

Zamiast wracać do domu na Śniegocką celem dalszego oczekiwania, co przyniesie los, idziemy wprost na Zagórną, na kwaterę naszych znajomych, Alibaby, Zabawy i kucharza. Nastrój tu świetny, pomimo że dopiero co czterech powstańców zostało zastrzelonych w przystani Syreny obok jakoby przez Ukraińców ukrytych wśród wikliny na cyplu Czerniakowskim.

Bitwa toczy się już na Pradze. Z górnego piętra przy Idżkowskiego przyglądamy się drugiej stronie rzeki. Jak zwykle przez lornetkę nie obznajomionemu trudno się szybko zorientować, dachy, drzewa, okna, dym nie dym. Należy najpierw wypatrzeć jakiś znajomy szczegół terenu i zacząć odeń tak jak od punktu zerowego. Ledwo przyłożyłem lornetkę do oczu mierząc tam, gdzie unosiła się kurzawa, zobaczyłem nurkujące rosyjskie samoloty. Wyglądało to jak na zwolnionym filmie... bomba, lśniąca w zachodzącym słońcu, pomarańczowo-złocista, odpada od samolotu i jeszcze większa wznosi się kurzawa. Odbierają mi lornetkę. Jeden samolot nurkuje za drugim. Jeśli bezkarnie atakują z tak niskiego lotu, to znaczy, że Niemcy muszą być w rozsypce.

Wracamy z dobrymi wieściami na Śniegocką. Spotykam Wojtka, kuśtyka o kuli. Zachowuje się, jakby się zaciął w palec. Sanitariuszka Jola podpira go. A oto, co się stało. Czółg, jadąc Rozbratem, strzelił w parter na rogu Śniegockiej. Wojtek w tym momencie znajdował się na pierwszym piętrze. Wychylił się i zobaczył, że lufa się unosi, ale nie uciekł. Może wciąż wstydział się tego kucania.

Noc spędzamy w piwnicy. Od rana huk ze wszystkich stron. Jedna wieść drugą goni. Ludna, Gazownia, ZUS, Książęca, Dziennikarka, Fabryczna, Blaszancka. Nacierają, odpierają, wypierają, podpalają, rozwalają. Ogniomistrza nie ma, „ucywilizował się”, widzieli go, jak przebrany wychodził.

Bomby spadły na szkołę na rogu Górnośląskiej i Rozbratu, sześciu powstańców zasypało. O Pradze nic nowego nie wiemy. Nastrój jak pięć przed dwunastą. Spory o sago ustają.

Edek, mszcząc się na „drobnomieszczanach” za to, że czepiali się

go za spanie z Hanką, za brak szacunku dla starszych i wywrotową propagandę, wyjaśnia strwożonym cywilom - „gdzie ja stoję, tam bomby lecą, na Woli, na Starówce, w Śródmieściu... teraz tutaj się zaczyna”. Aż moja matka na niego naskakuje, że straszy ludzi. Ja myślę podobnie. Gdziekolwiek się znalazłem, tam poszło główne niemieckie uderzenie: Wola, Starówka, ledwo w porę umknąłem z Powiśla. Samoloty krążą i rzucają bomby. Dom faluje, jakby stał na bagnie, a ziemia stęka za każdym razem, gdy przyłożą bliżej.

Karolka Gerszmana. zasypało w bramie domu cukrowników przy Rozbracie. Nasza czwórka nie rozłącza się ani na chwilę, jeśli teraz się zgubimy w ciemnej piwnicy, tylko Bóg nas może złączyć.

Sztukasy znowu nurkują jak dawniej, gdy nie było żadnej osłony z powietrza. Trzymamy się w pobliżu otworów przebitych pomiędzy piwnicami dwóch domów. Dwie szczytowe ściany oparte jedna o drugą wytrzymają nie tyle jaki podmuch, a w razie zasypania można przejść do następnej kamienicy.

Po południu nowa wieść stawia nas na nogi. Kilkunastu Niemcom udało się przeskoczyć przez Rozbrat do zwalonej szkoły. Szykuje się kontratak. Narada wojenna nie trwa nawet jednej minuty. Żegnając się z rodziną, wypowiedziałem, jak się później okazało, prorocze słowa:

- Nie wychodźcie z domu. Jeśli obrona załamie się wzdłuż Rozbratu, powstańcy odskoczą ku Wiśle. Niemcy zajmą te bloki bez walki, bez strat, rozstrzeliwać nie będą. Sam bym tu został, gdyby ludzie nie wiedzieli, że byłem w AK.

Po raz ostatni, pod strachem granatników, przemykamy się za barykadą w poprzek Śniegockiej. Biegnąc, muszę przytrzymywać ochronny pokrowiec na głowie, stalowe pazury nie trzymają się włosów, w końcu wkładam go do kieszeni.

Na Zagórnej oszałamiająca wieść. Most Poniatowskiego i Średnicowy wysadzony. A więc Rosjanie zajmują Pragę i nocą przeprawią się do Warszawy. Z nadejściem wieczoru dociera więcej wieści z linii: ZUS i Dziennikarka w naszych rękach, walki toczą się wzdłuż Ludnej, więc gazownię pewnie utracono. Najbardziej sprzeczne wiadomości napływają z południowego odcinka; to mówią, że na Łazienkowskiej są jeszcze nasi; to, że odparli Niemców na Przemysłowej; jedno przeczy drugiemu. Wciąż mi się o uszy objaja ta Blaszanika.

Przed udaniem się do snu z piętra domu na Idżkowskiego wpatrujemy się w ciemność, tam gdzie powinna być Saska Kępa.

Czasem zapada taka cisza, jakby już było zawieszenie broni. Po przeciwnej stronie rzeki ani błysków, ani ognia. Zasypiam przekonany, że tylko godziny dzielą nas od nadejścia Rosjan.

Ze spokojnej nocy zrodził się spokojny poranek. Przy sago zaprawionym ersatz-sosem pomidorowym gawędzimy o Rosjanach. Powstańcy już obejrzelili Saską Kępę przez lornetkę w pierwszych promieniach słońca, jest tak samo tajemnicza i martwa jak nocą. Most Kierbedzia podobno także zerwany. Chyba Niemców na Pradze nie ma. Czyżby wysadzili mosty nie wycofawszy się uprzednio? Przeciąga się wymiana poglądów na temat mostów. Ja uważam, że można je wysadzać, nawet gdy nieprzyjaciel już obsadzi przeciwległy brzeg, nawet gdy czołgi wjeżdżają na most, bo kable leżą pod spodem i trudno je przeciąć. A może Niemcy wysadzili mosty jako bezużyteczne, ponieważ znajdują się pod bezpośrednim ostrzałem rosyjskiej artylerii. Może wciąż obsadzają Pragę, a cofać się będą na północ. Żaden z nas w wojsku nie służył, co jeszcze bardziej ożywiało dyskusję.

Alibaba wstał, pomacał rewolwer, obciągnął kurtkę, poprawił pas, co wielu żołtodziobów robiło celem podkreślenia marsowej postawy, i poszedł zasięgnąć języka w dowództwie pododcinka obok. Alibaba, Zabawa i ich koledzy nabrali twardości przez te parę dni. W oczach wyrastali na żołnierzy. Czuję się bezpieczniej w ich towarzystwie.

Nagle wpadł powstaniec wołając:

- Alibaba zabity, dostał z peemu, leży na Czerniakowskiej!

Poderwali się wszyscy, by przynieść jego ciało. Wystraszyłem się i do nich z krzykiem:

- Czyście powariowali, zarąbią was!

Od razu się opamiętali, choć jeszcze udawali przez chwilę, że i tak pójda po Alibabę, tylko później, najoczywiściej okłamując siebie samych; chyba, że naprawdę pogłupieli. Poradziłem im odczekać, aż się ściemni, a do nocy było co najmniej 700 minut. Potem wszyscy pobiegli obok na piętro popatrzeć z okien.

Alibaba doszedł prawie do chodnika po przeciwległej stronie Górnośląskiej, gdy dostał serię z automatu z odległości kilkunastu kroków, z domu, gdzie miała być kwatera sąsiedniego oddziału. Leżał twarzą do ziemi pośrodku jezdni, zielona kępka na asfalcie. Nawet mną wstrząsnęło, dopiero co popijał z nami kawę, a teraz jest niedosięgły jak na dnie morza.

W czasie gdy filozofowaliśmy na temat mostów, Niemcy podeszli

na kilkadziesiąt kroków. Cisza zmyliła Alibabę. Musieli go już zobaczyć, ledwo postawił nogę na ulicy, ale odczekali, aż się zbliży, bo tak spokojnie szedł wprost na lufę.

Obecność Niemców na rogu Górnosłańskiej i Czerniakowskiej postawiła wszystkich na nogi. Mogli byli zaskoczyć nas przy kawie. A może są też w szkole obok za ogrodem, po drugiej stronie ulicy. Ażeby sprawdzić, trzeba było tam skoczyć na zwiady. Gdyśmy nocą spali, nasz świat znowu się skurczył. Spokój trwał niezmacony jak poprzednio, tylko jeszcze bardziej tajemniczy.

* * *

Doświadczyłem podobnej ciszy dokładnie co do dnia pięć lat wcześniej, 14 września 1939 roku w Sulejówku pod Warszawą. Już poprzedniego wieczora przyszły plotki nie plotki, że niemiecki patrol pojawił się w odległym o parę kilometrów Okuniewie, gdzie mieściła się plebania. Niemców jakoby odpędzono, rozbito, wybito czy coś w tym rodzaju. Nikt tego nie wziął poważnie, bo skąd by się wzięli Niemcy na wschód od Warszawy, zwłaszcza że tego samego wieczoru przyszła wieść o załamaniu się niemieckiej obrony na Renie. Prądu już nie było, ale sąsiad, odległy zaledwie o parę minut, miał radio na baterie. Normalnie było bardzo spokojnie w tej willowej miejscowości, poprzerastanej pasmami lasu. Poranek nastął pogodny i tak cichy, jakby całą naturę sparaliżowało. Tak chyba było zaraz po stworzeniu świata i tak będzie tuż przed jego końcem. Możliwe, że ludzkie ciało reaguje na dźwięki, których ucho nie słyszy i dlatego jedna cisza nie równa się drugiej.

Szedłem z kolegą rowem na wschód wzdłuż szosy wysadzonej wysokimi lipami i klonami, przylegającej do gęstego sosnowego lasu, aż usłyszeliśmy głosy. Na drodze stała grupa kilkunastu żołnierzy nad czymś debatując. Cała szosa była w cętki od plam słońca i cieni konarów. Liście, rozjaśnione promieniami, tu i ówdzie jarzyły się na zielono, utrudniając widzenie. Nie mogłem odróżnić słów poza jednym jo, jo, jo... Przemknęło mi przez głowę, że to Lwowiacy, tyle razy słyszałem audycje radiowe z Tońciem i Szczepciem. Coś nas musiało uderzyć w postawie żołnierzy, w ich ruchach, skoro nie wysunęliśmy się spoza krzaków. Rozpoznavszy obce mundury, zawróciliśmy i na zgiętych kolanach, przygarbieni, kocimi ruchami, umykaliśmy przydrożnym rowem ku domowi.

Ledwośmy wpadli z wieścią, w willi zawrzało. Kto ucieka do Warszawy? Kto zostaje? Swetry, pieniądze, żywność, prędeej, prędeej, prędeej!

Tymczasem na łące obok pojawił się patrol. Córka gospodarzy obwiązała mężowi gardło szalikiem i jako obłożnie chorego wepchnęła do łóżka nie wiedząc, że najnowszym lekarstwem na chorobę zakaźną w czasie wojny jest kula. Ja na rozkaz matki włożyłem krótkie spodenki.

W sąsiednim miasteczku, Miłośnie, żona oficera strzeliła z rewolweru do Niemców, którzy jakoby od razu wycelowali armaty na Sulejówek. Rosjanin, białogwardzista, zamieszkały tam od lat, oddawszy się na zakładnika zapewnił Niemców, że w Sulejówku polskiego wojska nie ma, inaczej zrównaliby wszystko z ziemią. Takie to słydy krążyły. Jedyne mieszkaniec Sulejówka, garbusek, listonosz Stanko, nie przejął się ciszą i jak zwykle raniutko ruszył z torbą na obchód. Listonosze wówczas nosili uniformy tego samego koloru co wojsko. Niemcy wzięli go za żołnierza i, gdy na okrzyk „halt!”, zaczęli uciekać, zastrzelili.

Potem przez dwa tygodnie po zachodniej stronie nieba wisiała chmura dymu i czasem wiatr przynosił daleki, głuchy grzmot artylerii. Pewnego dnia na błękitnym niebie ukazały się czarne kropki, które rosły i rosły... Wolniutko, chybotając się lekko w spokojnym powietrzu, spadały płachty spalonych papierów. Siadały na łące i pośród drzew sosnowego zagajnika. Nawet Niemcy zadzierając głowy, przyglądali się temu niezwykłemu zjawisku. Tak bardzo wtedy chciałem być w płonącej Warszawie.

* * *

Wbiegliśmy na najwyższe piętro domu po nieparzystej stronie Idżkowskiego. Widok był podobny jak wczoraj pod wieczór, z tą jednak różnicą, że zamiast ścian domów na Saskiej Kępie, nisko stojące słońce różowiło rzekę. W normalnych czasach, prowadząc rankiem psa na spacer, człowiek nie zwróciłby uwagi, że liście mieniają się w koronach drzew, mgiełka unosi się nad wodą i że fale się srebrzą. Spokój w naturze podkreślały rzadkie, przytłumione strzały.

Nagle zrywa się „sztorm” i już nie ustaje ani na chwilę. Łączność urywa się. Każdy gdzieś przywarł i nie rusza się. Huk i tylko huk. Czasem pada nazwa - Mączna. Reszta Czerniakowa znika z mapy. Wybierają się na Mączną, Mączna odcięta, jest połączenie z Mączną, ktoś się przekradł z Mącznej, na Mącznej jest źle, na Mącznej nieźle, nie wiadomo, co na Mącznej. Gdzież jest ta Mączna, zastanawiam się. Jesteśmy jak na wyspie. Domy na Zagórnej od 16 do 10 numeru mają połączenia piwnicami, za to aby przedostać się do mniejszych numerów i ku Wiśle, należy przebiec uliczkę

Idżkowskiego. Kamienica przy Zagórnej 16 na rogu Czerniakowskiej jest najbardziej wystawiona na obstrzał, więc tam w ogóle nie wchodzimy. Cały dzień spędzamy w piwnicy z cywilami i rannymi powstańcami, między czternastką a dziesiątką, nie wysuwając się nawet na parter. Piwnice tu są szerokie, przewiewne, nowoczesne, prawie mieszkalne.

Nic nie pamiętam z tego dnia oprócz śmierci Alibaby i wschodu słońca nad Saską Kępą. O zmroku bój przycichł. Zakręciło mnie w brzuchu. Zacząłem się rozglądać, gdzie by tu wyjść za potrzebą, nie opuszczając piwnicy. Obszedłem parę piwnic, w każdym kącie ludzie. Na podwórzu nie można, bo granatniki, Na górze też niedobrze, wielkie okna, szerokie klatki schodowe. W końcu nie miałem wyjścia, rozpędziłem się i dałem susa pod górę na parter. Najmniejszą przestrzeń przebywałem z maksymalną szybkością, choćby mnie mieli wziąć za tchórza lub wariata. W Pasażu było to normalne, tutaj jeszcze niezupełnie się przyjęło.

Kuchnia rozdzielala żołnierzom sago z czerwonym sosem. Stojąc u podnóża szerokich piwnicznych schodów rozmawiałem z Zabawą na temat, co przyniesie noc. Każdy o tym mówił i myślał.

Nie było wiadomo, czy Niemcy zrobili jakieś postępy i w czyich rękach znajdowały się bloki przy Szarej i Śniegockiej.

Położenie za rzeką także było niejasne, jeśli wręcz nie zagadkowe. Na Wale Miedzeszyńskim nie ukazywały się niemieckie pojazdy, ale z drugiej strony nie widać było śladu działalności Rosjan na Saskiej Kępie.

Zabawa ruszył schodami w górę. Dmuchięto kurzem i Zabawa zwałił się głową w dół. Tylko odrobina krwi ukazała się we włosach, ale i to zaraz sanitariuszki obmyły. Starszy pan, farmaceuta, wyrósł jak spod ziemi i jął wykonywać różne lecznicze zabiegi, oczywiście bez znaczenia. Zauważyłem, że aptekarze często pojawiali się w podobnych sytuacjach i spełniwszy swój obowiązek znikali między cywilami. Wyjaśniłem mu, że odłamki weszły do mózgu, na co wskazuje powolny świszczący oddech, i że zastrzyki mogą przydać się zdrowszemu. Farmaceuta zgodził się ze mną dodając, że w normalnych warunkach dałoby się go ocalić, po czym uniósł oczy sponad rannego i popatrzył na mnie. Wydał się nieco zaskoczony śmiałością diagnozy pochodzącej od młodzika, którego wygląd ani nie wskazywał na wykształcenie medyczne, ani na żołnierską przeszłość, jeśli nie liczyć cętkowanego pokrowca na głowie. Jego stalowe pazury przystosowane do hełmu nie mogły zahaczyć się we

włosach i luźno zwisały wokół mej głowy na kształt korony cierniowej. Kontynuując dyskusję farmaceuta wtrącił, że odłamki można wyjąć z mózgu, na co ja odpowiedziałem, że bakterie i tak zostaną. Jeśli Rosjanie przyjdą tej nocy, pomyślałem, to Zabawa może dotrzeć w porę do szpitala. Nie wiem, po co wysilaliśmy się na tę rozmowę, jakbyśmy wciąż jeszcze znajdowali się na łądzie Atlantydy, a nie już na dnie oceanu. Przed oczyszczeniem rany i założeniem opatrunku należało zgolić włosy, ale nim znaleziono brzytwę, farmaceuta rozmyślił się i odszedł. Jakieś dobre dusze podłożyły Zabawie pod głowę wgiętą puszkę po konserwach. Głowa staczała się na cementową podłogę. Potem przynieśli coś innego, jakby to robiło jakąś różnicę konającemu. Tymczasem Zabawa wcale nie umierał.

A oto, co się stało. Gdy szedł po stopniach w górę, granatnik uderzył w sam próg. Całe ciało od ramion w dół musiało być w momencie wybuchu poniżej podłogi parteru, gdyż odłamki poza głową trafiły go tylko w szyję, gdzie miał dwa krwiaki w kształcie sinych jaj. Z czasem przestał budzić zainteresowanie kolegów i personelu sanitarnego. Po pół godzinie konania ludzie rozpierzchli się i tylko wtedy, gdy głowa obsuwała się na cement, ktoś podchodził poprawić. Usadawiłem się w kącie obok schodów, naprzeciw Zabawy - było tam najbezpieczniej. Wszystkie inne pomieszczenia wypełniał tłum. Zjadłem resztę zimnego kleistego sago. Z odrobiną zarozumiałości zauważyłem, że nie tylko Witkowi i Hance, ale nawet Edkowi ta scena odebrała apetyt i nie dokończyli kolacji.

Oddech rannego czasem zwalniał, spłycał się, ustawał. Zdawało się, że nadchodzi koniec. To znowu przyśpieszał, rozpędzał się, świstał głośniejsze i sapał, jakby starożytna lokomotywa, taka z wielkim kominem na kształt odwróconego sombrera, wekslowała ciężkie wagony. Zaczął się rzucać. Ludzie podchodzili myśląc, że odzyskuje przytomność.

Zapadła noc. Czulo się, że dobiegł końca przedostatni dzień Czerniakowa. Spokój nastał w przestworzach, za to ożywiło się w podziemiach. Na krótkiej naradzie wojennej zdecydowaliśmy przepłynąć Wisłę za wszelką cenę, choć nie było potwierdzenia, że Rosjanie zajęli Pragę. Nic nie było wiadomo na pewno, nawet czy na Mącznej są Niemcy. Nawet o szkole na Zagórnej, znajdującej się w ogródku po drugiej stronie ulicy, nie można było się dowiedzieć prawdy. Ktoś opowiadał, że odparto tam szturm i kilku Niemców leży w trawie, zaś ktoś inny twierdził właśnie na odwrót, że do szkoły zamienionej na szpital wpadli Niemcy i obrzucili rannych granatami.

Gdyby Zagórna można było iść wprost do rzeki, zajęłoby to dwie minuty. Niestety, po drodze do rzeki Zagórna przecinała króciutka uliczka Idzkowskiego odsłonięta od strony szkoły, być może zajętej przez Niemców. Musieliśmy obejść Idzkowskiego, zagłębiając się w labirynt murków i podwórek. Trzeba było przebyć ten teren jak najszybciej z uwagi na granatniki i jak najwolniej, aby się nie zgubić i nie wyjść na Niemców, a do tego unikać miejsc rozjaśnionych ogniem. Nie orientowałem się w terenie odległym zaledwie o 300 metrów od mego domu. Wędrówka nasza zakończyła się na rogu Solca i Zagórnej w ruderze przepelnionej amatorami przeprawy przez Wisłę. Było wprawdzie kilkanaście łodzi, ale co lepsze już zabrano, pozostały dziurawe. Kajaków za to miało być w bród przy samej rzece w klubie wioślarskim „Syrena”, po drugiej stronie Solca. Większość zebranych, włącznie z zamieszkałą w ruderze grubą babą, Ukrainką, była zdania, że Niemców tam nie ma. Ostatnie, co słyszałem o „Syrenie” to, że wczoraj zginęło tam czterech powstańców. Podobno zastrzelili ich Ukraińcy z cypla Czerniakowskiego oddzielonego wąskim pasmem wody. Postanowiliśmy iść do „Syreny”. Przeszliśmy już Solec na palcach, gdy nagle kaem sypnął ekrazytówkami. Rzuciliśmy się w tył, świetliste smugi migwały pośród nas. Wcale nie czułem lęku, po tych wszystkich bombardowaniach zwykła kula karabinowa nie zdawała się aż tak groźna, zwłaszcza że widoczna. Dlatego nie padłem na ziemię, zresztą nie było za czym się ukryć. Ekrazytówka trafiła w gałąź tuż nad głową Witka i prysnęła iskrami. Dopadłszy rudery rozejrzeliśmy się, czy kto nie został na Solcu, nawet nikogo nie drasnęło. Ukrainką biadoliła, że teraz, gdy nas wykryli, dołożą z armaty, i poganiała, byśmy się wynieśli. Ludzi wciąż przybywało, zatłoczyli wszystkie pokoiki w małym parterowym domku, stali na podwórzu. Mało kto miał broń. Wyglądało to na jedną z tych sytuacji, które często źle się kończą.

Postanowiliśmy dołączyć do oddziałów „Radosława”, które poprzedniego dnia obsadzały bloki przy Wilanowskiej i Okręgu. Można było tam dojść Solcem albo Czerniakowską. Obie te ulice znajdowały się już pod obstrzałem, więc aby dotrzeć do ich stanowisk, należało przebić się 300-400 metrów w linii prostej przez gęsto zabudowany teren, nie przecięty żadnymi ulicami.

Było tam wiele małych fabryczek, warsztatów, magazynów często ogrodzonych murowanym płotem, wzmocnionym u szczytu drutem kolczastym lub tłuczonym szkłem. Pojazdy dojeżdżały do miejsca

przeznaczenia wąskimi przejściami pomiędzy ścianami lub z podwórka na podwórko. Wkrótce utknęliśmy w tym labiryncie. Trzeba było zawracać, przelazić przez dziury w ścianach. Cały ten teren, poryty pociskami ciężkiej artylerii i bombami, nie był zamieszkały przed Powstaniem. Teraz spotykało się tu, wprawdzie rzadko tylko, ludzi błakających się jak my. Niektórzy szli na Zagórną, bo tam miało być dobrze.

Ja, zdrowy, mogłem skakać po gruzie, ale Witek i Edek wciąż kuleli, a Hanka ledwo powłóczyła nogami. Gdzieś tu musiał znajdować się Magaj -plac do gry w piłkę nożną. Noc była dość widna, tyle się dookoła paliło. Zatrzymaliśmy się przed owalnym, metrowym otworem w murze. Przed nami rozpościerał się rozległy plac, którego koniec ginął w ciemności. W pobliżu leżały drewniane bale, dalej mury, murki, a za nimi ledwo widoczne zarysy wysokich domów. Musiała to być Wilanowska, a może Czerniakowska. Różnica istotna, bo na Czerniakowskiej już mogli być Niemcy.

Witek, korzystając z postoju, spuścił spodnie i jak stał, kucnął. Edek do niego:

- Jak ci nie wstyd, nie możesz odejść na bok, bierz przykład z Janka.

W rzeczywistości ja poszedłem się tylko odlać i stojąc za rogiem muru, nie spuszczałem z nich oka. Rozumiałem Witka; ja też się okropnie bałem zgubić Edka i zostać sam pośrodku tej zadymionej pustyni, miasta-cmentarzyska. Kilka razy z niedużej wysokości doszedł terkot wolno lecącego samolotu; to rosyjskie dwupłatowce, które latały tylko nocą. Już je ochrzcili terkotkami [Małe samoloty używane do lotów zwiadowczych, potocznie nazywano je również kukuruźnikami]. Stoimy przy murze, patrzymy przez dziurę, myślimy. Ściany odbijają blask płomieni, tu się tli, tam żarzy, cisza, światełka wszędzie mrugają, jak w noc Zaduszek. Oby choć postrzelali, pomogłoby to rozeznać się w terenie. Nikt z przeciwka, od Wilanowskiej, nie nadchodził. Czy zabrakło nam odwagi, czy rozum przeważał, dość że zawróciliśmy na Zagórną.

Ledwo niebo zaczęło szarzeć, wspięliśmy się z lornetkami na górne piętro domu przy Idżkowskiego. Powoli okolica wynurzała się z mroku. Widać było kawałek brzegu po tej stronie, mgiełka pokrywała rzekę. Wtem zobaczyłem coś, co nie tylko zaparło mi przysłowiowy oddech w piersiach, ale przeniosło w inny świat i na moment wymazało w pamięci Alibabę, Zabawę, Pasaż Simonsa i całą resztę.

Wpierw muszę opisać topografię. Naprzeciw, po parzystej stronie

Idzkowskiego, znajdował się dom, który przesłaniał znaczną część rzeki i Saską Kępę. Przez wielkie otwory po wyrwanych na przestrzał oknach widać było prostokąt Wisły. Patrząc nieco skośnie w lewo, gdyby nie mgła, można by było zobaczyć Pragę i zwalone mosty.

W prostokacie Wisły, zakreślonym przez wyrwane okna, zobaczyłem przez lornetkę dwóch ludzi w łodzi; wypłynęli z mgły. Rosyjscy łącznicy? Rytmicznie uderzali czterema wiosłami, mierząc na nas, na wylot Zagórnej. Jeśli byli w zasięgu mego wzroku, to i Niemcy musieliby ich widzieć z tego brzegu, gdyby tu byli. Mgiełka zrzędła, rozwiewała się, zmieniała w puch, odrobinę różowiła się, woda mieniła się przyćmionym srebrem, jak na pejzażach atolów południowego Pacyfiku. Wtem ciszę przerwał karabin maszynowy. Był to jedyny dźwięk w przestrzeni od postrzępionych dachów Solca do zerwanego mostu i po zamglony widnokrąg. Strzały jeszcze bardziej uwydatniały niezwykłą martwość, podobnie jak błyskawica nocą podkreśla ciemność. Tamci nadal równo wiosłowali, iskry zaczęły migotać obok łodzi. Koledzy wyrwali mi lornetkę. Gdy ją za chwilę odzyskałem, zobaczyłem tylko jednego mężczyznę - w wodzie. Płynął ku nam, chyba żabką, rytmicznie wynurzając głowę. Iskry szły i szły. Niemożliwe, by ich sam nie zauważył, ale wykonywał wciąż te same ruchy, z tą samą szybkością. Odtąd wiem, co to znaczy patrzeć na coś ze ściśniętym sercem.

Tak jak we wsi nocą, jeden pies zaszczeka, drugi mu odszczeknie, poszczekają nawzajem na siebie, wybiją ze snu trzeciego, czwartego, piątego i z wolna podnosi się ogólna szczekania, jakby wieś otoczyli złodzieje czy wilki. Jeden się wyszczeka i pofolguje, dwa podejmują szczekanie i w końcu cała okolica rozszczekana. Coraz więcej kulomiotów dołączało się, jakby strzały pierwszego obudziły załogi innych. Biły nie krótkimi seriami, ale ciągnęły równym ściegiem, jak maszyny do szycia. Mężczyzna zbliżył się znacznie i zdawało się, że jeśli już tyle drogi przebył wśród iskier, dopłynie do brzegu. Prąd znosił go w lewo i wyniósł z pola widzenia poza obręb prostokąta okna. Los nas wszystkich zależał od jego misji. Do kulomiotów dołączyły się enkaemy, bijąc jakby wolniej i ciężiej, oraz działka szybkostrzelne, jeszcze wolniej i jeszcze ciężiej, a do reszty poszarpały ciszę granatniki.

Zawróciliśmy do piwnicy na Zagórna z radosną wieścią, że już nie jesteśmy sami. Był to równie szczęśliwy moment, jak wyjście z kanału. Czekać na porcję sago, wdaliśmy się w ogólną dyskusję na temat znaczenia tego, co przed chwilą oglądaliśmy. Rosjanie

zapewne w nocy przeprawią się na warszawski brzeg, a więc Powstanie kończy się.

Tymczasem kanonada rozpętana przez jedną łódź nie ustawała. Nagle samolot przemknął nad dachem i eksplozje wstrząsnęły domem. Zerwała się w pobliżu ostra strzelanina. Przez tuman kurzu wypadliśmy z piwnicy na podwórze. Jeszcze mgiełka ceglanego pyłu wisiała w powietrzu. Druga bomba ścięła róg przybudówki obok. Popędziliśmy w kierunku Wilanowskiej. Pokrowiec spadł mi z głowy. Zwolniłem, aby zawrócić i go podnieść i zostałem w tyle parę kroków. Na myśl, że te kilka sekund wystarczy, by mnie wziąć na cel, znów poderwałem się do najszybszego biegu. Nie oparliśmy się, aż Zagórna zniknęła nam z oczu pośród gmatwaniny niskich, wypalonych ruin. W ciągu minuty zebrało się kilkanaście osób. Potem dopływ nowych ustał. Od strony, skąd przybiegliśmy, dochodził suchy trzask broni maszynowej. Po twarzach łatwo było odgadnąć, że każdy wiedział w czym rzecz. Wpadną i jeśli wszystkich z miejsca nie rozwałą, to na swój sposób posegregują, oddzielając podejrzanych: ten czystszy, ogolony, dobrze mu się wiodło, cywile go obsługiwali, miał własnego fryzjera - bandyta. Twarzą do ściany; tamten zarośnięty, brudny - nie miał czasu ogolić się i umyć, bo strzelał do Niemców - bandyta. Nikt w grupce cywilów nie orientował się w terenie. Parę kroków w kierunku przeciwnym od Zagómei, przez dziurę w ścianie przechodziło się na coś w rodzaju wąskiej uliczki, bez chodników, wypalonej jak wszystko dookoła i zarzuconej gruzem. Po lewej załom muru osłaniał od strony wysokich domów przy Czerniakowskiej, tak że stojąc przed dziurą, można było rozejrzeć się dokoła. Niewiele było do zobaczenia. Na wprost, po drugiej stronie uliczki, zgliszcza hali maszyn. Na prawo, nie opodał, uliczka kończyła się ślepo. Edek wychylił się z za muru na sekundę tylko celem rozpoznania, ale nic nowego nie zobaczył. Zupełnie niepotrzebnie, bo od razu pociągnęli serią wzdłuż ściany i już nas mieli na oku. Zawróciliśmy przez dziurę do cywilów. Obecność Edka, Witka i Hanki w mundurach wystarczała, by całą grupę uznano za bandytów i ich sympatyków.

Kilkanaście kroków dalej na południe zaczynały się podwórza na tyłach Zagórnej, stamtąd uciekliśmy. Na północ - karabin maszynowy strzelał wzdłuż wypalonej hali maszyn. Od zachodu Niemcy. Od wschodu drogę ku Wiśle, odległej o jakieś trzysta metrów, zagradzały kilkumetrowe gładkie ściany. Na próżno rozglądałem się za łomem. Nie było ani piwnic, ani stropów. Trudno było sobie wyobrazić

miejsce postoju mniej nadające się na przeczekanie do nocy. Byliśmy odcięci na wysepce ruin.

Ściana zaczęła odpryskiwać pośrodku nas i musieliśmy ścisnąć się na przestrzeni paru kroków. Cegła kruszyła się obok, mogłem sięgnąć ręką. Myślałem... to jest śmierć, śmierć, śmierć. Dźwięk tego słowa jak echo bez końca odbijał się wewnątrz mej głowy. Tyle razy już kule skubały mur obok mnie, ale nigdy mi się nie zbierało na takie refleksje. Cywile nie spuszczaali oczu ze mnie, stałem bowiem tylko o krok od miejsca, gdzie serie kul raz po raz uderzały. Nie rozumieli, że przede wszystkim obawiać się należy granatnika. Piętnastoletni chłopiec zwracał się do starszego, kulturalnego pana per ty, zauważyłem, że wszyscy mówili sobie ty. Czapa!

Zachrząścił gruz i wbiegła pomiędzy nas łączniczka, a raczej kobieta-łącznik, trzydziestoletnia na oko, cała pokryta pyłem. Otoczyliśmy ją półkręgiem. Zatrzymała się po drodze z Wilanowskiej na Zagómą, by odsapnąć i rozejrzeć się. Niedaleko stąd wpadła pod ogień karabinu maszynowego i musiała się czołgać. Od ucieczki z Zagórnej była naszym pierwszym kontaktem ze światem. Mówiła spokojnie, lekko zaciągając z wileńska. Nieczęsto widywało się łączniki w tym wieku i od razu pomyślałem, że niesie ważne meldunki. Cywile zarzucili ją pytaniami.

- Na Wilanowskiej jest dobrze, ogólne położenie jest dobre - odpowiadała.

Przypatrywałem się jej uważnie. Nie tyle słowa, ile jej pogoda ducha zwodziła. Domyśliłem się, że należy do ludzi, dla których życie mniej znaczy niż sprawa, której służą. Nigdy ich nie mogłem zrozumieć. Samemu umrzeć mniej strasznie, gdy jest się z nimi. Szybko ukoila lęk cywilów. Widać było, jak się odprężali, słuchając. I głosy ich nabrały innego dźwięku, już nie zwracali się do siebie per ty, ale per pan i pani. Trzeba było wielkiego hartu ducha, by kłamać tak dobrze w takiej sytuacji. Wiedziałem, że kłamała, nie wiedziałem, ile. Wierzyłem i nie wierzyłem jej i ten wysiłek, aby nie dać się zwieść, jeszcze bardziej napiął moje nerwy. Radzili jej, aby nie szła dalej. Wypytawszy się szczegółowo o konfigurację terenu uspokoiła nas:

- Nic mi się nie stanie. Kule się mnie nie imają. I pobiegła ku Zagórnej. Nasłuchiwaliliśmy, czy aby do niej nie strzelili, ale nie sposób było zorientować się pośród terkotu. Ledwo zniknęła, poczułem, że mi tej niezwyklej kobiety brak. Inni zapewne podobnie zareagowali na jej odejście, sądząc po tym, jak ją usilnie namawiali,

by została. W rezultacie jej krótki pobyt zwiększył jeszcze mój lęk, jakbym zobaczył zwiastuna nieszczęścia pod postacią anioła.

Edek dał mi hełm do potrzymania, bo miał zamiar wysunąć szybko głowę za róg i zerknąć ku Niemcom jeszcze raz. Widok hełmu mógł ściągnąć granatnik. Przeszliśmy dziurą na uliczkę na wprost hali maszyn, aby jeszcze raz rozejrzeć się.

Wydawało się nieprawdopodobne, aby nie było dalej żadnego przejścia ani ku Wiśle, ani ku Wilanowskiej. W północnej ścianie fabryki, jeśli już nie drzwi, to powinny być przekute otwory. Do fabryki należało skakać całą czwórką naraz, a tylko ja byłem w stanie zrobić to wystarczająco szybko. Na dobitkę z tej strony były tylko jedne wąskie drzwi. Gdy okiem mierzyłem dystans, wyliczając czas, kiedy Niemiec naciśnie cyngiel, Edek z Hanką i Witkiem rakiem cofali się wzdłuż ściany po prawej stronie ku ślepemu końcowi uliczki, nie wiadomo po co. Znajdowali się niecałe dziesięć kroków ode mnie, gdy drzewko obok nich zaczęło drgać. Krzyknąłem:

- Strzelają do was!

Sami musieli zauważyć, bo zatrzymali się. Machnąłem na nich ręką, by cofnęli się i z obawy przed granatnikiem z powrotem przeszedłem przez dziurę do cywilów.

Odczekałem dłuższą chwilę, a gdy nie wracali, ostrożnie wyjrzałem - nikogo nie było. Ślepy koniec uliczki, odległy może o trzydzieści kroków, był pusty. Wołałem ich wiele razy. Nie mogli wdrapać się na parometrową gładką ścianę. Nie widziałem żadnego zagłębienia w ziemi, a cała przestrzeń była równo wyłożona kocimi łbami. Zawróciłem do gromadki cywilów z nadzieją, że tam całą trójkę zastanę. Może mnie zamroczyło na chwilę i niedowidziałem. Cywile nie mogli zrozumieć, o co mi chodzi, przecież byłem razem z nimi. Znowu przeszedłem dziurą na stronę uliczki, jeszcze raz przeskakując przez odkryte miejsce, gdzie kule poszczypały mur. Wołałem i wołałem przekrzykując karabiny maszynowe, aż zrozumiałem, że jestem sam. Włożyłem na głowę hełm Edka. Wydawało mi się, że w czasie nalotu na Zagórną uciekaliśmy niemal równoległe do linii frontu. Musiałem więc znajdować się gdzieś na skrawku ziemi niczyjej, niedaleko wysokich domów stojących po zachodniej, już niemieckiej stronie ulicy Czerniakowskiej.

Nie mogłem myśleć o czym innym, jak tylko o niesamowitym zniknięciu moich przyjaciół. Czyżby uprowadził ich patrol? Odrzuciłem tę myśl jako nedorzeczną, ale wszystkie inne przypuszczenia miały jeszcze mniej sensu. Podobnie jak

niezrozumiałe byłoby zniknięcie ludzi z dna wyschłej studni bez drabiny i bez pomocy z zewnątrz. Po raz nie wiem który przyglądałem się ścianom okalającym ślepą uliczkę, szukając wytłumaczenia. Widziałem dokładnie, że nie było wyjścia. Jedyнным miejscem poza zasięgiem wzroku był króciutki odcinek muru na prawo w skos, po przeciwnej stronie uliczki, zasłonięty narożnikiem fabryki, nieosiągalny z powodu ostrzału.

Doszedłszy do wniosku, że Niemcy tu wtargną nim słońce zajdzie, postanowiłem jakoś wydostać się z tego zaułka na szersze wody. Była to trudna decyzja. Musiałem bowiem wybierać pomiędzy prawdopodobną i bliską śmiercią a pewną, choć późniejszą, z rąk SS, gdybym zwlekał z opuszczeniem tych niczyich ruin.

Zacisnąłem pod brodą pasek Edkowego hełmu. Cofnąłem się pod samą dziurę dla nabrania rozpędu i skoczyłem przez uliczkę. To, co wyglądało na skrzydło dużej fabryki, okazało się tylko jedną odizolowaną halą maszyn, bez dachu, bez stropów i bez wyjścia na drugą stronę. Przeszedłem kilkadziesiąt kroków od końca do końca, obchodząc zwalone szyny i kupy żelastwa, odciskając ślady stóp w popiele. Nawet nie było zejścia do podziemi, gdzie w ostateczności mógłbym się ukryć do przyjscia Rosjan, ani żadnego zakamarka, ani większego kawałka blachy, żeby się nakryć. Wszystkie drzwi i okna otwierały się na ślepą uliczkę. Trzeba było wracać. Pożałowałem, że się w ogóle oddzielił od cywilów. Jak dotąd dzień ten mógł służyć jako przykład, że nigdy nie jest aż tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

Ponaglałem się i zwlekałem z przeskakiwaniem z powrotem na drugą stronę uliczki. Nagle rozległ się tupot nóg i wpadł powstaniec w mundurze Wehrmachtu, bez czapki, bez broni, z węzełkiem w rękę. Zapewne z powodu mego niemieckiego hełmu w cętkowanym pokrowcu przedstawił się:

- Jestem podchorąży Roman.
- Kapral Krok - odpowiedziałem.
- Pociągnęli po mnie? - zapytał.
- Pociągnęli!
- Co tu słyszeć?

- Niepotrzebnie tu przybiegłeś - wyjaśniłem. Przejścia dalej nie ma. Hala fabryczna wychodzi tylko na ślepą uliczkę. Każda otwarta przestrzeń znajduje się pod ostrzałem z wysokich kamienic przy Czerniakowskiej. Pokróćce opisałem wydarzenia tego dnia.

Rozejrzał się.

- Znam ten teren, powiedział, niedaleko powinna być dziura w ścianie. Był w świetnym humorze.

- Rosjanie przychodzą w nocy - rzekł, pomijając fakt, że bliżej było do wschodu niż do zachodu słońca.

- No to co! Biegniemy razem na Wilanowską? - dorzucił niecierpliwie.

Usiłowałem go powstrzymać:

- Dopiero co cię widzieli, na pewno trzymają palec na cynglu.

Roman nie dał się przekonać. Bałem się zostać sam i bałem się wybiec. Przeszliśmy do wschodniego końca hali maszyn, tego bliżej Wisły. Roman stanął na parapecie okna, rozhuśtał się, skoczył w dół i tyle go widziałem. Spadło kilka okruchów cegły, chyba pociągnęli po nim czy za nim i tym razem.

Znowu zostałem sam. Teraz pożałowałem, trzeba było trzymać się Romana. To chciałem biec jego śladem w nieznane i już stawiałem nogę na parapecie okna, to znowu odzyskiwałem zdolność rozumowania: przecież razem nie będziemy bezpieczniejsi... to zapaleniec, wariat, pewnie już dostał w czapę. Siedząc spoglądałem w stronę, gdzie w labiryncie ruin kryli się cywile. Zateśkniłem za nimi. Diabli mnie tu przynieśli. Chciałem tam wpaść na chwilę, porozmawiać, może Edek się odnalazł. Strzelanina nie była tak nerwowa i chaotyczna jak poprzednio. Erkaemy były krótkimi seriami. Dobrze, jeśli jedna na tysiąc kul wylatywała z polskiej lufy. Odróżniałem podwójny grzmot czołgów, ale gdzieś z dala. Ani jeden granatnik nie spadł w pobliżu, ani też nie było słyhać wybuchów ręcznych granatów. W środku wypalanej hali maszyn odgłosy bitwy brzmiały niezupełnie tak samo jak na zewnątrz, zapewne z powodu echa. Zwisające blachy cichutko pobrzękiwały. Taki spokój nie może trwać długo - powtarzałem sobie dla dodania animuszu. Stałem na parapecie ostatniego okna od wschodniej strony. Od węgła dzieliło mnie tylko parę kroków, a za węglem - nieznane. Przyjrzałem się jak cegły leżą na ziemi, odmierzyłem, wsparłem prawą nogą o mur, odbiłem się i w sekundę byłem za rogiem.

Wpadłem na Romana. On też ucieszył się ze spotkania. Nie sądziłem, bym mógł natknąć się na niego lub kogokolwiek innego na ziemi niczyjej, a cały ten czas, dobre trzy kwadransy, byliśmy obok siebie, oddzieleni tylko wschodnią ścianą fabryki. Sam nie wiedział, co robić. Stał przed dziurą w murze i gapił się na rozległy plac okolony ruinami, zaśmiecony gruzem, żelastwem i podziobany nieco artylerią. Od razu poznałem Magaj, choć zmienił się od czasu, gdy

nam zabroniono używać go jako boiska. Dokładnie tutaj ubiegłej nocy Edek strofował Witka za nieobyczajne zachowanie, stąd zawróciliśmy na Zagórną. Ledwo się rozejrzałem, pożałowałem, że tu jestem. Aby wrócić do fabryki, musiałbym wyskoczyć na ślepa uliczkę, podbiec do pierwszego okna i wdrapać się do środka bądź też przebiec kilkadziesiąt kroków do drzwi fabryki. Od dziury w murze, za którym widziałem ostatni raz cywilów, też było kilkadziesiąt kroków, na ukos przez ślepa uliczkę. Wszystkie te manewry należałoby wykonać pod lufą kaemu. Nie było powrotu i właściwie nie było do czego wracać. Nie pozostawało nic innego, jak brnąć naprzód. Odwróciłem się. Niedaleko, na placu przed nami, stała maszyna do ugniatania żwiru i asfaltu, obok niej leżało kilka grubych pni odartych z kory. Dalej rozciągały się niskie ruiny, a w odległości jakichś 200-300 metrów - zbawcze, wysokie, masywne kamienice przy Wilanowskiej. Za walcem leżało trzech mężczyzn. Krzyknąłem do nich, coś nam odkrzyknęli. Roman zwrócił się do mnie zachęcająco:

- No, co... Skaczemy? Skaczemy?

Zaniepokoiłem się, że znowu zostawi mnie samego.

- Skaczemy! - powiedziałem.

Podparliśmy się razem... ramię w ramię... raz, dwa, trzy, przez dziurę na plac i do maszyny. Tamci trzej niechętnie się posunęli. Leżałem za stalowym walcem, nosem go niemal dotykając, czwarty od lewej strony. Roman po mojej prawej ręce. Zdziwiłem się i ucieszyłem poznając w mężczyźnie obok Jurka Adamczyka. Ostatni raz widziałem go w dniu pogrzebu jego brata inżyniera.

- Po coś tu przybiegł - burknął Adamczyk - wołałem do was, żebyście nie biegli, nie ma miejsca za walcem. Jesteśmy pod ostrzałem.

Zrobiło mi się mdło.

- Strzelali do nas? - spytałem.

- Strzelali, koło nóg się wam kurzyło.

Nie chciało mi się wierzyć. Nic nie zauważyłem. Niemiecki hełm to ma do siebie, że przy szybkim biegu człowiekowi szumi w uszach i niewiele słychać. Podejrzewałem, że specjalnie były tak skonstruowane, aby żołnierz nie szarpał sobie niepotrzebnie nerwów, gdy do niego strzelali. Poszła króciutka seria po walcu. Zrozumiałem gniew Adamczyka: ściągnęliśmy na nich uwagę Niemców.

Tah, tah, tah...

Tah, tah, tah... poznać doświadczonego strzelca erkaemistę.

Jak to możliwe? Biegliśmy wprost do Polaków, a stamtąd Niemcy do nas strzelają. Obejrzałem się za dziurą w murze... za daleko, nie zdążę.

Walec stał nieco skośnie do kierunku, skąd nadlatywały kule. Pierwszy od lewej strony leżał mężczyzna trzydziestoletni, w mundurze Wehrmachtu, obok trzynastoletni chłopak, Adamczyk po cywilnemu, ja i Roman. Przejechali serią po walcu. Nigdy nie doświadczyłem takiej siły uderzenia zwykłej kuli karabinowej. Walec drgał jak pod ciosem stalowego młota i wydawał dźwięk pękniętego dzwonu. Po chwili schytrzyli się i pojedynczymi strzałami bili w otwór walca tak, że kule grzechotały w środku. Roman, dla którego już nie wystarczało miejsca, leżał u wylotu walca; odpryski żelaza utkwily mu w dłoni. Ścisnęliśmy się jeszcze bardziej, częściowo kładąc się jeden na drugim. Niezwykły huk strzałów skierowanych w nas zagłuszał wszystkie inne odgłosy bitwy.

Starszy mężczyzna w mundurze Wehrmachtu oświadczył, że tu nie zostaje i zaczął się czołgać rakiem ku wielkim pniom. Poluzowało się. Roman paznokciem wydłubywał okruchy metalu z dłoni. Adamczyk obrócił głowę w lewo, poszedłem za jego wzrokiem. Mężczyzna leżał za pniem, płasko wyciągnięty, brzuchem do góry. Kule skrobały pień, obsypując go drzazgami. Próbował wydostać się spod ostrzału, pełzając na plecach. Strach mną owładnął, jakbym patrzył na siebie samego. Czapa. Odwróciłem się. Najgorsze, że umysł mi pracował jak zegarek. Lepiej być zamroczonym, niż widzieć, jak się sprawy mają.

Z przodu strzelają. Z lewej, z prawej, o kilkadziesiąt kroków murki bez drzwi i okien. Z tyłu dziura przy ścianie fabryki, teraz tam nie dobiegnę, ale za godzinę, gdy wycelują karabin maszynowy w inną stronę, można będzie się poderwać... Lada chwila strzelą do walca z działka albo z granatnika. Tymczasem musiałem leżeć bez ruchu, z trzech stron widoczny jak na dłoni. Tak jakbyś był przywiązany do bomby zegarowej i słyszał tykanie. Myśl o otworze w murze odległym o niecałe 30 kroków świdrowała mi w mózgu.

Jak tam bezpiecznie, dlaczego wybiegłem, skoro trzech już kryło się za maszyną. Dlaczego?... dlaczego?

Musiałem zamknąć oczy na dłuższą chwilę, gdyż nagle zauważyłem, że Adamczyka i chłopaka nie było. Obejrzałem się. Obaj czołgali się tyłem gęsiego i zniknęli pod ziemią w odległości kilku kroków od ugniataarki. Nim upewniłem się, że to nie ułuda, bo już tyle niezwykłych rzeczy przytrafiło mi się tego dnia, Roman już pełzł

rakiem. Dotąd nie zauważyłem żadnego zagłębienia, widząc jednak, że i on zniknął pod ziemią, ruszyłem ich śladem. Dotarłem do kwadratowej, zbitej z desek pokrywy, odepchnąłem ją na bok i zsunąłem się w dół pomiędzy ich głowy. Adamczyk wyglądał na niezadowolonego z powodu mojego przybycia, ale zaraz zasunęliśmy klapę i zapadła ciemność. Studzienka, głęboka do pól piersi, wybita była deskami. Miejsca, by sięść, było dość, lecz nogi zawadzały, więc zarzuciliśmy je jeden drugiemu na uda i gdzie tylko się dało. Światło sączyło się do środka przez szpary pomiędzy deskami pokrywy. Wkrótce oczy przywykły do mroku i widzieliśmy się nieźle. Nie mogłem myśleć o czym innym, jak tylko o tym, czy Niemcy zauważyli, gdzie zniknęliśmy. Może ich uwaga była skierowana na pnie obok. Zrobiło się tak duszno, że musieliśmy uchylić klapę. Spojrzałem na zegarek - było samo południe. Poza zwykłą strzelaniną nic się nie działo, powoli uspokajałem się i zacząłem myśleć bardziej konstruktywnie. Gdyby się tak dało położyć parę kawałków cegły na pokrywę, żadnemu Niemcowi nie przyszłoby do głowy sprawdzić, co się kryje pod spodem, tyle wszelakiego śmiecia i desek wałało się dookoła. Zaczęliśmy rozmawiać szeptem. Uzgodniliśmy, że odczekamy tu do nocy. Rosjanie przeprawią się dopiero po zapadnięciu ciemności. Z nieba zesłana studzienka w rzeczywistości została zbudowana przed Powstaniem przez brata Adamczyka, nie tego, który już poległ, właśnie w celu ukrycia się z zapasem wody i żywności, gdyby zaszła potrzeba.

Ni stąd, ni zowąd Adamczyk oświadczył, że wychodzi ze studzienki o pierwszej trzydzieści, że mu życie miłe i że tutaj siedząc będziemy tylko na śmierć czekać. Chłopak poparł go, pewnie się znali. Na rozsądek zapalczywego Romana nie mogłem liczyć. Wiedziałem, że za dnia nie wyjdę, a jeśli zostanę sam, to albo zwariuję, albo nigdy nie odważę się wysunąć na powierzchnię ziemi. Obojętnie, czy ich zastrzelą od razu, czy wezmą żywcem, to i tak, i tak zdradzą moją kryjówkę. Nocą, pełzając sam, nie znajdę drogi do Wisły, będę się błąkał i krążył jak w śnieżycy aż do świtu. Nie pomogły żadne perswazje szeptem. Adamczyk uparł się i nie zmienił zdania, więc zamilkłem i tylko przyglądałem się zegarkowi. Minęła już pierwsza, gdy Adamczyk przesunął godzinę „wymarszu” na drugą. Co jakiś czas przetasowywaliśmy odrętwiałe nogi. Jeden je podkurczał, drugi wyciągał, ten, co miał pod spodem, kładł na wierzch. Wskazówki minęły pierwszą trzydzieści. W miarę jak zbliżały się do drugiej, mój lęk nasilał się do tego stopnia, jakby poza godziną

drugą nie istniało życie. Adamczyk zawsze sprawiał wrażenie solidnego człowieka, na którego słowie można było polegać. Nawet gdy zegarek wskazywał minutę przed drugą, a Adamczyk ani nie drgnął, byłem pewien, że za minutę wstanie. Ukradkiem obserwowałem tarczę zegarka. Nie odzywałem się ani słowem, nie poruszałem, aby nie wytrącić Adamczyka z bezruchu. Siedział po mojej lewej stronie. Nie spuszczałem oczu z profilu jego twarzy, jakby od jej drgnienia zależał mój los. Jak przedtem ze zgrozą przyglądałem się wskazówce zbliżającej się do drugiej godziny, tak teraz z ulgą patrzyłem, jak się oddalała. Z czasem stało się oczywiste, że Adamczyk nie wychodzi. Spokój w naturze udzielił się i nam. Uzgodniliśmy, że z zapadnięciem ciemności czołgamy się do Wisły i wsiadamy w pierwszą łódź. Adamczyk miał wskazywać drogę. Znał teren, ponieważ tu się znajdowały składy, warsztaty i garaże jego brata. Roman też tutaj się kręcił w czasie Powstania i nieźle się orientował. Ja również wystarczająco bym się orientował, gdyby można było stanąć. Stopniowo wywiązała się towarzyska rozmowa, głośnym szeptem wymienialiśmy biograficzne dane. Narzeczona Romana, niejaka panna Stefcia czy Sylwia, miała sublokatorski pokój u doktora Porębskiego, który mieszkał na rogu Śniegockiej i Miechowskiej. Stefcia czy Sylwia dała Romanowi na drogę węzełek z prowiantem. Chłopak, jeśli w ogóle coś powiedział, to nic godnego zapamiętania. Niewątpliwie Niemcy już dawno zapomnieli o paru facetach, których przed trzema godzinami ostrzelali za walcem, poza tym na pewno nie odważyliby się wyjść na środek odsłoniętej zewsząd przestrzeni. Zrównanie dnia z nocą przypadało za tydzień i słońce powinno zachodzić zaraz po szóstej, z poprawką na czas letni. Noc już nie wydawała się nieskończenie odległa. Przemknęło mi przez głowę, że będę miał jeszcze jedną przygodę do opowiadania.

Musiało być już dobrze po trzeciej, gdy samotny pocisk zawył krótko i eksplodował nie opodal, a potem jeszcze parę w krótkich odstępach czasu. Włożyłem hełm. Wkrótce rozpętało się na dobre. Zasunęliśmy klapę szczelnie, aby gruz nie sypał się do środka. Raz po raz pył sączył się przez szpary, czasem brzęknęło, jakby kto potracił strunę młotkiem. Odłamki musiały zacinać wokół ugniatarki. Starłem się jakoś wypełnić czas, odróżniając eksplozję granatników od artyleryjskich pocisków i odgadując kalibry. Udawałem obserwatora tak długo, dopóki nerwy wytrzymały. Pocieszałem się, że jeśli pocisk upadnie obok, nie uczyni krzywdy, jeśli uderzy w

pokrywą, nic nie poczuję i nigdy się nie dowiem, co się stało.

Urwało się równie nagle, jak zaczęło. Odsunęliśmy nieco klapę, aby zaczerpnąć powietrza. Gęsty, nierówny ogień broni maszynowej nie ustawał, zamazany jak wszystko, co słyszałem. Albo się przybliżał, albo moje bębrenki odzyskiwały prężność z nastaniem ciszy. Poznałem granaty ręczne. Znaczyć to mogło tylko jedno, że piechota ruszyła do szturmu. Wtem wyraźnie usłyszałem - ktoś krzychał i krzychał. Okropne podejrzenie przyszło mi na myśl. Nie mogłem odróżnić słów. Spojrzałem na Adamczyka - trupy nie tak strasznie wyglądają. Widziałem siateczkę żyłek na uszach cienkich, białych, pergaminowych; pośrodku twarzy nos suchy, spiczasty wyróżniał się bladością jak biały dziób.

- Niemcy? - szepnąłem.

Potaknął. Cała twarz mu zbieleła. Zasuńliśmy klapę. Zdjąłem hełm i wsunąłem pod siebie. Łudziłem się wiedząc, że się łudzę, iż Romana, który i tak miał na sobie mundur Wehrmachtu wezmą za właściciela hełmu, a nas trzech nie rozstrzelają. Adamczyk wyjął portfel i zaczął w nim grzebać pośpiesznie, odnalazł legitymację AK, złożył ją kilka razy i wcisnął w szparę pomiędzy deskami. Głosy niemieckie dochodziły od dziury, skąd z Romanem przybiegliśmy. Niemcy byli więc po obu stronach placu. Zaraz podejda do pokrywy. Uwierało mnie w piersiach, jakbym się nawdychał pinezek. Roman rozsupłał węzełek, dar narzeczonej, wyjął 3/4 litrową butelkę cacao chois, pociągnął parę łyków i podał mnie. Pociągnąłem z kolei, pamiętając, by nie wypić całej porcji za pierwszym razem i wręczyłem Adamczykowi. On zaś, zadartszy głowę aż dno butelki dotknęło pokrywy, pił i pił; wystająca grdyka wznosiła się i opadała na chudej szyi miarowo jak tłok. Pomyślałem, jaki niekoleżeński, pije, co ja nie dopiłem - mój przydział. Najmniej dostało się chłopakowi. Spoglądałem na swe ręce, czy nie drżą; całe ciało pod skórą było w nieustannym ruchu, twarz mi drętwiała, wargi puchły. Pomimo iż przycichło, coraz to zrywały się serie broni maszynowej i tylko Pan Bóg jeden mógł wiedzieć czy jeszcze strzelali, czy już rozstrzeliwali. Słyszając kroki, wpatrywałem się w twarze, aby odgadnąć, czy i oni słyszą. Czy strzelą przez klapę, myśląc żeśmy uzbrojeni, czy odsuną ją wpierw na bok. Jak pozbyć się hełmu, myślałem gorączkowo, jakby to robiło jakąkolwiek różnicę. Trzymać pod kolanami, siaść na nim. Wkrótce wszystkie myśli ustały. Pozostał tylko słuch, wyczekiwanie kroków. Czas stanął w miejscu, choć mijały sekundy i minuty. Nic już nie mogło przytrafić się w moim życiu między chwilą

obecną a chwilą, gdy kopnięta butem pokrywa odpadnie na bok i rozbłyśnie nade mną słońce po raz ostatni. To lękałem się, że któryś z moich towarzyszy wyskoczy i zacznie krzyczeć, to znowu zmylony ciszą podejrzewałem, iż nastąpiło zawieszenie broni.

Po co my się wzajemnie zabijamy. Wyjdę do Niemców i powiem im, że powinniśmy być braćmi... braćmi na zawsze... tłumaczyłem sobie na niemiecki... *wir sollen Brüder sein...* dosyć wojny... *nie wieder Krieg... nie wieder Krieg... wir sollen Brüder sein* - zasiądziemy przy ognisku... będę im opowiadał o Pasażu, o Arsenale... o Władzie, o Szoferze.

To znowu mi się wydawało, że słyszę kroki. Całe moje ciało składało się jakby z maleńkich sprężynek lub pełne było szklanego miazgu, wszystko drżało i kłuło nieustannie. Czuję, że będę wymiotował do końca życia. Adamczyk przemówi po niemiecku, ocali się, chłopak za młody na rozstrzelanie. Ściemniło się w studzience. Widocznie znaleźliśmy się w cieniu. Szeptali tak cicho, że nie mogłem zrozumieć i lękałem się, że beze mnie układają plany. Zacząłem znowu spoglądać na zegarek, aż noc zapadła.

Adamczyk odsunął klapę, wpierv odrobinę tylko, a gdy nawdychaliśmy się chłodnego powietrza i przywykliśmy do widoku skrawka nieba, wstał i ostrożnie odsunął ją zupełnie na bok.

Jak do niedawna nie oczekiwałem, że dożyję nocy, tak teraz zdawało mi się, że noc nigdy się nie skończy. Widok gwiazd dodawał otuchy. Nie spodziewałem się ich zobaczyć. Kolejno wstawaliśmy, aby się wyprostować. Powolutku wysunąwszy głowę, rozglądałem się po świecie.

W pierwszej chwili wydało mi się, że moja głowa ściąga na siebie uwagę jak latarnia morska. Blask odległych pożarów odrobinę rozjaśniał ciemności, szczęściem nie było księżyc.

Niedaleko, na lewo za ugniatarką, żarzyła się ruina. Czasem płomień wyskoczył na wierzch gruzu i zatrzepotał, wtedy mogłem odróżnić niewyraźny zarys dziury w murze, skąd przybiegliśmy. Teraz dopiero uderzyło mnie, że byłoby gorzej, gdybym nie odłączył się od cywilów, został w wypalonej fabryce lub nie dał się namówić Romanowi na przeskok do walca. Z poziomu ziemi pobliskie cegły wyglądały jak glazy, kupa gruzu wydawała się wzgórzem, a ugniatarką przysłaniała ćwierć horyzontu. Po ośmiu godzinach kucania ciało prostując się dostawało kurczów. Tak już przywykłem do bezpieczeństwa wewnątrz ziemi, że widok świata napędzał mi strachu, jakbym sam był na widoku całego świata, Nieraz, gdy

znajdowałem się bardzo blisko Niemców, zdawało mi się, że jeśli nawet nie usłyszą mego oddechu, bicia serca, to przechwycą moje myśli i znajdą mnie. Cisza panowała niezwykła po tak burzliwym dniu.

Zasunawszy pokrywę, w absolutnej ciemności przykucnęliśmy do narady. Zapadła jednogłośnie decyzja, aby wychodzić o dziesiątej i czołgać się do rzeki. Najchętniej zaczekałbym na Rosjan, przyglądając się ze studzienki gwiazdzistemu niebu. Mogli jednak nie dotrzeć tutaj przed świtem. Zostawiwszy małą szczelinę dla wentylacji, obserwowaliśmy mijanie czasu. Nigdy nie rozpiełała mnie taka radość życia.

Brakowało może godzinę do dziesiątej, gdy dało się słyszeć głucho dudnienie, coraz wyraźniej, ktoś biegł. Trudno było odgadnąć, skąd i dokąd. Odezwała się seria z peemu, też nie wiadomo skąd, ale bardzo blisko. A już się zdawało, że świat zapadł w letarg. Natychmiast zasunęliśmy pokrywę. Nie było o czym szeptać. Fakty mówiły za siebie. Zbliżyła się i minęła godzina dziesiąta, nikt nie drgnął. Umysł mój pracował nieustannie i bezowocnie. Co robić? Co robić?

Z rzadka światło rakiet rozjaśniało szpary pokrywy. Robiło się duszno. Odsunęliśmy pokrywę odrobinę. Tyle przede mną życia, ile nocy. Minęła jedenasta. Myśl spędzenia jeszcze jednego dnia w kucki, bez wody, bez powietrza, z Niemcami dookoła, przerażała mnie nie mniej, niż myśl o wypełnieniu na powierzchni ziemi. Nieskończoną ilość razy w wyobraźni przeżywałem straszną scenę wschodu słońca oglądanego przez szpary między deskami. Zasunawszy szczelnie pokrywę, użyłem całej siły krasomówstwa, na jakie okoliczności pozwalały. W rezultacie ustaliliśmy godzinę wyjścia na dwunastą. Oczywiście, mogłem wypuścić się sam, ale tego lękałem się tak samo jak pozostania w studziencie. Prawie nie spuszczałem oczu z zegarka, aż wielka wskazówka dogoniła małą.

- Idziemy - szepnąłem.

Adamczyk pokręcił głową i zaproponował wyjście o pierwszej, chłopak zawtórował mu. Przeżyłem chwilę rozpacz. Jeśli jeszcze raz przełożymy, nigdy nie wyjdziemy. Z pierwszej przełożą na drugą, z drugiej na trzecią, a o trzeciej będzie za blisko świtu. Roman szepnął, że wychodzi. Odłożyliśmy pokrywę całkiem na bok, aby nie zawadzała. Ze studzienki tak bezpiecznie można było przyglądać się niebu.

Gdyby ta noc mogła trwać do przyjscia Rosjan, nigdy bym się stąd

nie ruszył. Spędziliśmy tu razem część życia i ciężko było się rozstawać. Włożyłem hełm i zasunąłem pasek pod brodę. Gdy już byliśmy gotowi, albo zabrakło mi odwagi w ostatniej chwili, albo rozsądek przemówił - zwlekałem parę sekund, aby Roman zapaleniec wysunął się pierwszy. Jeśli Niemcy coś już zauważyli, wygarną do pierwszego. Zresztą wcześniej uzgodniliśmy, że on będzie prowadził, gdyż zna teren. Jak tylko Roman wypetł, wstałem i wsparłszy się o brzeg studzienki, uniosłem się na rękach, bardzo wolno, najwolniej jak mogłem. Wywindowałem się na powierzchnię i ułożyłem obok. Oczekałem nieco, odpełzłem dwa kroki i zatrzymałem się obok Romana. O kilka metrów z przodu czerniał masyw ugniatarki. Długo leżeliśmy bez ruchu. Niemcy mogli byli usłyszeć szmery. Po paru minutach wypatrywania oczy im się zmęczą i zobaczą to, czego nie ma, gdyż żołnierzowi frontowemu zawsze trochę w uszach dzwoni i czego on tam się nie dopatrzy i nie usłyszy w cichą i ciemną noc. Traćiliśmy się, że czas w drogę. Pomyślałem, czy już zasunęli klapę. Przepęłznawszy metr odczekaliśmy parę minut, znowu metr i postój... aż dotarliśmy do cieśniny pomiędzy walcem a kłodami drzewa, za którymi wczoraj ostrzeliwali starszego powstańca.

Przed nami otwierała się rozległa, przyprószona gruzem płaszczyna, obrzeżona po obu stronach niskimi ruinami, których obecność można było tylko odgadnąć, przyglądając się uważnie gwiazdom nad linią horyzontu. Zarysy ruin z grubsza zapamiętałem wczoraj, gdym rozglądał się po Magaju przed skokiem do ugniatarki.

Zgłiszcza po lewej stronie i z tyłu wokół fabryki na pewno obsadzali Niemcy. Stamtąd za dnia dochodziły ich głosy. Pomimo iż wczoraj rano strzelali do ugniatarki z przodu, Roman był pewien, że wprost przed nami, w wielkich domach po drugiej stronie Wilanowskiej, wciąż znajdowali się powstańcy. Mnie też wydawało się nieprawdopodobne, aby oddziały „Radosława” uległy tak szybko. Musieliśmy się czołgać równolegle do Wisły, gdyż zakręcić w prawo do rzeki nie można było aż tuż przed Wilanowską. Przedyskutowaliśmy to wiele razy jeszcze w studziencie. Środek płaszczyny niknął w ciemności, ale w świetle nawet niezbyt bliskiej rakiety zapewne wszystko było widać jak na dłoni. Stąd, z parametrowej cieśniny, łatwo jeszcze dałoby się odnaleźć studzienkę, lecz straciwszy z oczu ugniatarkę, można było się zgubić z powodu braku punktów orientacyjnych. Leżeliśmy w cieśninie osłonięci od flank walcem i kłodami; mogliśmy jeszcze zawrócić.

Zeszło dużo czasu. Nie pamiętam, czy ja wpierw szturchnąłem Romana, czy on pierwszy ruszył. Myślałem, że będziemy posuwać się pewien odcinek wzdłuż pni, odchylając się nieco w lewo i nadrabiając drogi, ale Roman skierował się na sam środek płaszczyzny. Była to trudna decyzja. Linia pni stopniowo zakręcała w lewo, ku Czerniakowskiej. Choć pnie dawały osłonę z lewej strony, w pewnym punkcie trzeba było się od nich oderwać i zawrócić w prawo, gdyż zbliżały się zbyt blisko do ruin, zapewne obsadzonych przez Niemców. Pełznęliśmy metr, dwa, kamieniejąc co chwila na parę minut. Roman pierwszy, ja po jego prawej i odrobinę z tyłu. Ilekroć przystawał, zrównywałem się z nim i leżeliśmy obok siebie, aż jeden szturchnął drugiego, że czas w drogę, a ten odszturchnął, że się zgadza. Macałem przed sobą, by nie potracić żelastwa, nie wczołgać się na blachę. Kluczyłem, gdy zaszła potrzeba. Musieliśmy już zostawić ugniataarkę daleko z tyłu, gdy rakiety, jak gorejące srebrne iskry, jęły wylatywać łukiem ponad widnokrąg, gdzieś daleko z prawej strony, od Wisły. Pomimo odległości ich ostry blask rozjaśniał nieco okolicę. Porozrzucone cegły, kupki śmieci i gruzu nie dawały osłony, chociaż widziane z poziomu oczu kota nabierały niezwykłych rozmiarów. Przywarłem policzkiem do ziemi, aby się lepiej rozplaszczyc. Leżeliśmy sami, pośrodku niezmiętej przestrzeni pustkowie, a tam gdzieś w studziencie, bezpiecznie pod pokrywą, wyciągnąwszy nogi siedzą oni obaj i myślą o nas. Nikt inny nie wie, że żyję i gdzie jestem. Niemal widziałem ich, głowy nieco pochylone, twarze zadumane i nieruchome, jakby oświetlone od dołu nikłym płomieniem niewidocznej świeczki.

Jedna rakietka goniła drugą. Może nas Niemcy zobaczyli, ale wzięli za trupy. Jeśli będziemy się posuwać w krótkich przerwach pomiędzy rakietkami, zauważą zmianę położenia. Wprawdzie do trupów też strzelali, dla rozrywki i aby upewnić się, że nie żyją, ale dniem tylko. Nocą zdradzaliby w ten sposób własne stanowisko. Rakietki wylatywały zbyt często, by można było ryzykować pełzanie. Byliśmy przygwożdżeni do ziemi. Obawiałem się że, jak to często bywa, nocna strzelanina zacznie się w jednym miejscu, a potem rozszerzy się na inne odcinki bez żadnych powodów. Gdy przeciągało się, straszna myśl przyszła mi do głowy, że świt zaskoczy nas na tym pustkowie. Przyglądałem się niebu po wschodniej stronie. Rakietki przy Wiśle rzadziej wlatywały. W przerwach pełznęliśmy łeb w łeb tak wolno, że gołym okiem nie poznałbyś, czy się ruszamy. Na tej zupełnie odsłoniętej przestrzeni tu i ówdzie leżało razem parę cegieł,

blacha, trochę śmieci. W miarę możliwości wybieraliśmy te miejsca na postoje. Porozumiewaliśmy się z łatwością dotykiem, gdyż wszystkie zagadnienia życia sprowadzały się do pełzania. Trudno byłoby ocenić, jak szybko posuwaliśmy się, gdyby nie rumowisko na lewo żarzące się czerwonymi punktami; orientowało w ciemności jak latarnia morska. Czasem płomień wyskoczył na wierzch, zatrzepotał, rozjaśniając nieco najbliższą okolicę, zawirował i zniknął. Nie było sposobu obejścia tych zgliszcz bez nakładania drogi i zbliżenia się do ruin po stronie prawej, skąd przedtem Niemcy strzelali do walca. Więc nadal pełzaliśmy na wprost, Roman pierwszy, ja obok, o długość głowy z tyłu za nim. Coraz to zerkałem ku wschodowi, czy aby noc się nie kończy. Centymetr po centymetrze oddalaliśmy się od żarzących się zgliszcz i w miarę jak czerwony odbłask słabł, Roman niepotrzebnie przyśpieszał. Zamiast zatrzymywać się co krok, robił „jednym susem” po kilka metrów. Chciałem go pohamować, ale wysforowywał się przede mną i ciągle musiałem go doganiać. Im lepsza sytuacja, tym większa ostrożność wskazana, a jemu powodzenie zawracało w głowie.

Ukształtowanie terenu zmieniło się. Stał się on nierówny, leżało tu więcej śmieci, żelastwa i cegieł. Horyzont zawężał się. Pełzaliśmy teraz od jednej kupy gruzu do następnej, odczekiwaliśmy niedługo i dalej w drogę. Górą wolno przeleciała i zawróciła terkotka. Było to pomyślne dla nas, odwracała bowiem uwagę Niemców od ziemi ku niebu. Bali się strzelać, gdy krążyły. Stopniowo pełzanie przeradzało się w czołganie. Posuwaliśmy się od osłony do osłony, nasłuchując w przerwach. Drogę zagrodziło nam usypisko i olbrzymi lej po bombie. Zsunęliśmy się głową w dół. Tu wyprostowałem się bez lęku pierwszy raz od momentu, gdy wczoraj padłem za walcem. W szalonej radości długo i bez słów ściskaliśmy sobie ręce. Potem siedzieliśmy na dnie, niby to nasłuchując, a właściwie ciesząc się życiem. Krawędź leja leżała wysoko nad nami i tylko krąg nieba było widać. Czas jednak nagle, bo nie było wiadomo, ile jeszcze pozostało nocy.

Wyczołgawszy się na powierzchnię, ruszyliśmy w tym samym co poprzednio kierunku. Naprzeciwko widać było zarys potężnej budowli. Choć posuwaliśmy się bardzo ostrożnie, teraz można to było nazwać zabawą w czołganie. Oprócz gwiazd nic nie rozpraszało ciemności. Drogę zagrodził nam parterowy budynek, który zupełnie przesłonił wielki dom poza nim. Wydawało mi się, że Roman nie spodziewał się tej przeszkody. Czołganie dobiegło końca. Nasłuchiwaaliśmy długi czas, żadne skrzypnięcie, żaden chrobot ani

szmer nie zakłócały ciszy, w każdym razie ciszy, którą słyszałem. Niemożliwe, aby ktokolwiek mógł ustać czy usiedzieć tak długo nie poruszywszy nogą, nie poprawiwszy się w krześle. Spodziewałem się tu powstańców.

Podpełzliśmy pod same schody i weszliśmy na parter. Jak zwykle w niejasnej sytuacji, stawiałem stopy na zewnętrznym brzegu buta, zaczynając od pięty i stopniowo przesuwając środek ciężkości ku przodowi, jak koń na biegunach. Umiałem nawet biec w ten sposób. Przeszliśmy magazyn.

Stojąc na skraju ulicy, z ukrycia rozejrzałem się. Tuż obok w lewo - Czerniakowska. Poznałem po szkielecie kamienicy wypalonej jeszcze w 1939 roku. Na wprost - narożny dom u zbiegu Okręgu i Wilanowskiej. Brama znajdowała się po przeciwnej stronie. Roman wskazał palcem ledwo widoczne okno piwniczne, przed którym stała barykada czy raczej przesłona sięgająca połowy chodnika, zbudowana dla użytku tych, co przebiegając ulicę musieli się rozpędzić albo przyhamować. Znowu odczekaliśmy w bezruchu czas jakiś, by uspić czujność Niemców na wypadek, gdyby nas usłyszeli. W kamienicy naprzeciw nie było znaku życia. Dotknęliśmy się rękoma, aby razem odbić się do skoku i za chwilę znaleźliśmy się wśród Polaków na Okręgu 2.

Zwykła scena piwniczna. Długie korytarze. Tłok, toboły, walizy. Tu i ówdzie wokół nielicznych świeczek kręgi mdłego światła. Zamazany szmer głosów. Ludzie śpią, gdzie popadnie. Przeciskają się powstańcy w staromiejskich panterkach. Dowiedzieliśmy się od nich, że Niemcy są obok, po drugiej stronie Czerniakowskiej.

Trzeba dać znać tamtym dwóm w studzience, że droga wolna, pomyślałem.

- No, co? - zwróciłem się do Romana - skoczmy przez Wilanowską do magazynu i krzykniemy na nich. Roman zgodził się, że trzeba to zrobić, ale podobnie jak i ja, nie kwapił się. Pomyślałem o ciemnym, pustym magazynie i nawet za Krzyż Walecznych już bym tam nie pobiegł, do jednego razu sztuka.

Dopiero po wojnie przyszło mi do głowy, że powinienem był wejść na piąte piętro i stamtąd ponad parterowym magazynem ryknąć:

- Adamczyk, droga wolna!...

- Droga wolna na Wilanowską!

Pewnie by usłyszał, gdyby odsunął pokrywę.

Wdałem się w rozmowę z powstańcami, krótko zdawszy relację z

cudownego ocalenia. Nie zrobiło to na nich szczególnego wrażenia, każdy miał swoje własne podobne doświadczenia. Okazało się, że ostatni etap - przeskakiwanie Wilanowskiej pod samym nosem Niemców - nie był konieczny, ponieważ kilkadziesiąt metrów w tyle znajdowała się przesłona czy barykada w poprzek ulicy. Chciałem się poradzić Romana, co dalej robić w sprawie Adamczyka, czy przejść na drugą stronę Wilanowskiej poza barykadą, ale gdzieś się zawieruszył. Samemu nie chciało mi się błąkać mrocznymi korytarzami, przepychać się przez tłumy siedzących, zwłaszcza że barykada przecinała ulicę nie przy naszym domu, ale przy następnym. Adamczyk pewno i tak domyślił się, że przeszliśmy, ponieważ do nas nie strzelano.

Od ludzi „Radośława” dowiedziałem się, że Rosjan jeszcze nie widziano, ale że mają się przeprowadzać jeszcze tej nocy. Duch bojowy powstańców był dobry, pomimo braku amunicji. Choć pozostały tylko niedobitki, może co czwarty przeżył, łatwiej było ich zabić niż złamać. Wieści o przyjeździe Rosjan słyszałem codziennie od początku Powstania, tym razem nie miałem powodu wątpić. Ledwo trzymając się na nogach ze zmęczenia i odprężenia, wyszukałem miejsce w piwnicy na betonie przy węglu, wprzód upewniwszy się, że okna wychodzą na podwórze, i zasnąłem.

Ocknąwszy się, usłyszałem rozmowę:

- Jacy to ruscy, co pani opowiada, to Polacy, polskie mundury mają...
- Ruskie w polskich mundurach.
- Jak to, sama słyszałam, polsku mówią.

Wyszedłem na piwniczny korytarz. Dniało już.

Przedemną stali polscy żołnierze.

Koniec Powstania, a ja wczoraj omal nie utonąłem u brzegu. Całe to nocne czołganie wydawało się niepotrzebne, mogłem powitać ich ze studzienki. Czuję się bezpieczny jak nigdy w życiu. Dumny z siebie samego, że w ciągu tych sześciu tygodni nie dałem się Niemcom.

Żołnierze nie odzywali się, jakby onieśmieleni. Obwieszani byli granatami i uzbrojeni w pepesze, które przypominały krótkie, przysadziste karabinki. Niektórzy mieli rusznice przeciwpancerne o długich lufach. Słyszałem o armii Berlinga, nigdy jednak nie pomyślałem, że jej żołnierze mogą nosić polskie mundury, wyobrażałem sobie, że mają zastępcze, w kolorze granatowym, jako wojsko uzurpatorskiego komitetu patriotów polskich w Moskwie. Nie

wiem, dlaczego w kolorze granatowym, nieprzydatnym do wojny. Wygląd mundurów był niemal równym zaskoczeniem jak sama obecność berlingowców. Im dłużej patrzyłem, tym piękniejszy wydawał się krój i kolor. Łagodna zieleń mchu, jakże różna od chemicznych kolorów niemieckich mundurów, grynszpanu policji i feldgrau Wehrmachtu. Mieli ciepłe jesienne płaszcze z porządnej wełny, prosto spod igły. Guziki z orzełkiem pomalowane na zielono. Pasy, rogatywki. Chciało mi się ukradkiem dotknąć mechatego rękawa. Cywile i powstańcy obstąpili przybyszów w ciasnym korytarzu, zasypując ich pytaniami, na które regularnemu żołnierzowi nie wolno odpowiadać.

- Ilu was przyszło, jaki to oddział, kiedy zajmiecie resztę Warszawy, skąd pochodzicie, czy macie armaty?

Powstańcy wypytywali się o broń i jak odbezpieczać granaty. Berlingowcy odpowiadali powściągliwie, zaciągając po kresowemu, zapewne zaskoczeni niezwykle sytuacją, a najbardziej widokiem powstańców w niemieckich uniformach.

Plutonowy poprowadził grupkę żołnierzy. Ruszyłem za nimi. Po krótkim kołowaniu mrocznymi i zatłoczonymi korytarzami, kapral oraz paru żołnierzy uzbrojonych w pepesze i w jedną rusznicę przeciwpancerną zatrzymali się w komórce piwnicznej. Reszta, z przewodnikiem i plutonowym, podążyła dalej. Wszedłem do komórki i ja. Od tego momentu hełm niemiecki z cętkowanym pokrowcem służył mi za legitymację AK. Wyglądał tak okazale, że w znacznym stopniu neutralizował negatywne wrażenie, jakie sprawiała granatowa jesionka, beżowe spodnie i brak biało-czerwonej opaski. Przysiadłszy się pod ścianą nie zdjąłem go, choć mi ciążył - z obawy, aby mnie nie wyprosili. Hełm na głowie bardziej rzucał się w oczy, niż gdyby spoczywał na kolanach. Zależnie od potrzeb chwili, hełm będzie mi pozwalał na korzystanie z przywilejów żołnierza, a brak broni, z przywilejów cywila. W komórce zgromadziło się mieszane towarzystwo miejscowych niedomundurowanych oraz niedozbrojonych powstańców i przybyszów zza Wisły. Wdałem się w rozmowę z berlingowcami, wyjaśniając, jak zachować się wobec „goliata”, nalotu nurkowców itd. Plutonowy wrócił, rozejrzał się i rzekł do kaprala:

- Ile pepesz macie?
- Cztery - zameldował kapral.
- A gdzie piąta?
- No i tak, dałem powstańcowi.

- Jak to daliście, a kto wam pozwolił?

- Przy Wiśle naszego zastrzelili, jedną miałem za dużo, dałem powstańcowi.

- To nie wiecie kapralu, że broni się nie oddaje, a przysięgę składaliście?

Kapral się speszył.

- Do raportu was podam!

Im dłużej go sztorcował, tym bardziej się podniecał. Zabawne było to ruganie ze śpiewnym kresowym akcentem. U „Chrobrego” porucznik nie mógł dać takiego opeeru bezkarnie zwykłemu powstańcowi z bronią, bo ten zaraz by mu się odszczeknął.

Nie wiem, ile by jeszcze wydziwił plutonowy, gdyby miejscowy powstaniec nie wpadł do komórki. Oznajmiwszy że „tygrys” stoi opodal, zapytał, czy rusznica przeciwpancerna jest dobra dla niego.

- Koniecznie dobra - oświadczył plutonowy, choć z tonu odpowiedzi wynikało, że nie bardzo wiedział, co to jest „tygrys”. Sądząc po kalibrze, rusznica mogła być groźna najwyżej dla tankietki. Plutonowy wziął kaprala, jednego żołnierza z rusznicą i wyszli. Nadal rozmawialiśmy, my oszołomieni ich uzbrojeniem, oni labiryntem murów, ciasnotą i bliskością stanowisk obu przeciwników. Po kwadransie plutonowy wrócił, odszczypnęło mu kawałek ucha, krew kapłała na mundur. Siadł w kącie bez słowa.

- A gdzie tamci dwaj?

Machnął ręką i już się więcej nie odezwał.

Rozdzielali chleb żołnierzom, dostało się i mnie. Nie jadłem od czasu rozmowy z Zabawą. Potem dali odrobinę sago. Ten, który mnie ugościł, przedstawił się jako plutonowy Tur, dowódca miejscowej drużyny, czy czegoś tam zdekompletowanego i niedozbrojonego. Dał mi do zrozumienia, że mógłbym być przyjęty do jego pododdziału, jeśli naprawdę jestem powstańcem. Po wysłuchaniu paru migawek o Arsenale najwidoczniej nie miał już wątpliwości. Mimo to nie chciało mi się wplątywać w sytuację, w której ktoś uważałby się za uprawnionego wydawać mi rozkazy lub oskarżać o dezercję, gdybym ewentualnie odłączył od oddziału. Dałem więc odpowiedź wymijająco-pozytywną z uwagi na jedzenie. Najbardziej odpowiadałoby mi, mówiąc obrazowo, siedzieć przy ognisku, ogryzać kości, spluwać w płomienie i udzielać konsultacji. Nie miałem zamiaru powracać do statusu żołnierza, który przelewa krew, z drugiej zaś strony wydawało mi się, że już nigdy w życiu cywilem normalnym nie będę.

Plutonowy Tur - Panie, świeć nad jego duszą, choć zwłok osobiście nie widziałem - wzbudzał więcej sympatii niż respektu. Podtusiały, dobroduszny, grubawy, wyrzeźbiony był przez naturę na szefa magazynu i chyba nieoczekiwanie dla siebie samego zaplątał się na samą linię. Nie sądzę, aby przeżył. Zdawało mi się, że gdy strach porazi mu zmysły, zapomni zdjąć biało-czerwoną opaskę. Wkrótce poznałem też zwierzchnika Tura, pchor. Jelenia, młodszego, ale równie bojaźliwego. Dopiero po całym dniu zorientowałem się, że jest drugi Jeleń, podporucznik o wilczej naturze, który od pierwszego wejścia przypominał mi podporucznika Jura, fanatyka z kompanii Klima.

Pierwszy raz od przybycia na Okrąg 2 wyszedłem na małe podwórko o kształcie klina, niemal jak dno studni. W węższym jego końcu zerwano asfalt. Znajdowało się tam kilka otwartych grobów i kilka mogiłek opatrzonych krzyżami, parę osób kopało doły. Obok leżały nosze przykryte prześcieradłami. Krzyży nie dekorowały przestrelone hełmy z powodu ich dotkliwego braku.

U podstawy klina rozłożył się biwak, stało kilkanaście kotłów i zaimprovizowanych kuchenek. Najwyższe, piąte piętro od Wilanowskiej zwały się na podwórze, dostarczając w bród materiału budowlanego. W wielkich kotłach musiała się warzyć strawa dla kilkudziesięciu osób. Najmniej zaawansowani technicznie stawiali dwie cegły na sztorc, garnek na wierzch. Książki, meble, węgiel szły w ogień. Wokół uwijało się mnóstwo ludzi, głównie miejscowi powstańcy pomieszani z cywilami. Dymiło się, bulgotało i pachniało. Kręcąc się wśród kotłów próbowałem nawiązać kontakty, zagadywałem w nadziei, że mnie poczęstują. Wstyd mi było żebrać, obawiałem się odmowy. Nikt mi nie ofiarowywał jedzenia. Cywile, widząc hełm, zapewne myśleli, że żywi mnie wojsko. Zaś powstaniec-kucharz, którego zagadnąłem w tej sprawie, pouczył mnie, że walczący akowcy otrzymują posiłki we własnym oddziale, a nie prosto z kotła. Strój mój też był nietypowy i zapewne nie budził zaufania. Pod granatową jesionką, rozpiętą z powodu ciepłej pogody, nosiłem jasnobezowe ubranie po folksdojczu, za ciasna marynarka nie dopinała się ukazując białą koszulę. Od bomb na Zagórnej, nocnego pełzania oraz spania na węglu, kontrasty w kolorach pomiędzy poszczególnymi częściami garderoby, rękami i twarzą zacierały się. Od dołu czarne buty z krótkimi cholewkami, o nosach jeszcze bardziej zadartych niż przedtem z powodu chodzenia po gruzie. Od góry wspaniały hełm, który zapewne budził i zazdrość, i

podejrzenia, że go ukradłem. Jeśli chodzi o wyżywienie, mogłem spróbować szczęścia u cywilów, wprzód ukrywając hełm, ale nie było gdzie. W piwnicy, a nawet na parterze zaraz by ktoś zauważył i wziął. Wchodzenie na piętro w celu schowania hełmu uważałem za niepotrzebne ryzyko. Nawet za potrzebą wychodziłem tylko na parter. Wystarczyło popatrzeć na rannych leczonych przegotowaną wodą, by potroić ostrożność.

Wkrótce zorientowałem się, że walka toczy się bez zmian w najbliższej okolicy. Pomimo wylądowania odsieczy, Niemcy jeszcze nie wycofali się. W rzeczywistości znajdowali się nadal po drugiej stronie Czerniakowskiej. Od biwaku na podwórzu dzieliło ich kilkadziesiąt metrów i jedna grubość domu, dlatego też bardzo nieswojo czułem się pod otwartym niebem. Nie mogłem odpędzić myśli o granatnikach i pewnie odbiło się to niekorzystnie na moich zabiegach kulinarnych. Gdybym wystarczająco długo gapił się na jedzenie, pewnie ktoś by się zlitował. Przemknęło mi przez głowę, aby iść do Wisły i nocą przepłynąć na Saską Kępę. Sądząc po kanonadzie, jaka zerwała się znów po wschodzie słońca, nie było bezpiecznie kręcić się za widną po Czerniakowie. Należało poczekać do zapadnięcia ciemności, a tymczasem dzień ledwo się zaczął. Dom przy Okręgu 2 wyglądał na solidną budowlę i był prawie twierdzą, ponieważ załoga składała się z powstańców batalionu „Zośka”, wspartych pepeszami i rusznicami berlingowców. Zresztą, po co ryzykować przepływanie na Pragę tej nocy - myślałem - skoro Niemcy i tak odejdą lada dzień.

Spędziwszy pół dnia o pustym brzuchu, znalazłem się tam, skąd wyszedłem, w komórcie u plutonowego Tura. Wyraziłem żywsze niż poprzednio zainteresowanie walką zbrojną o wyzwolenie Warszawy w szeregach Armii Krajowej oraz zatknięciem biało-czerwonej flagi na gruzach Berlina - i dostałem zupę. Zresztą walczyli już jedynie berlingowcy i zgrupowanie „Radosława”, a oddział Tura pełnił tylko funkcje wartownicze, więc nie sądziłem, abym ponosił ryzyko.

Tur poszeptał ze swym bezpośrednim zwierzchnikiem podchorążym Jeleniem, potem z drugim Jeleniem, podporucznikiem (jeden z Jeleni, bojaźliwy podchorąży, miał kozią bródkę) i zostałem przyjęty. Wszystkie narady odbywały się, zależnie od okoliczności, szeptem lub półgłosem w komórcie, która również służyła za jadalnię i kwaterę. Nieraz, niby to drzemiąc, a właściwie wypoczywając z zamkniętymi oczami, posłyszałem to i owo. Słuch mi się trochę poprawił, ale nadal demonstracyjnie posługiwałem się wata, więc

uważano mnie za bardziej głuchego niż w rzeczywistości byłem, co mi najzupełniej odpowiadało. Robiłem z siebie widowisko wtykając palec do lewego ucha przy połykaniu. Ból nieustannie przypominał mi własną nieostrożność pod Arsenalem, którą z perspektywy czasu oceniałem coraz bardziej jako głupotę.

Zaraz po zupie dostałem oficjalny przydział do służby wartowniczej. Z obowiązkami osobiście zapoznał mnie plutonowy Tur.

- Że pepesza należy do bramy, a nie do mnie, gdy mam przerwę na posiłek, mogę zejść ze stanowiska, ale broń mam oddać zastępcy.

- Że obowiązuje posłuszeństwo wobec dowódcy, przy czym hierarchia jest następująca: on, plutonowy Tur, wyżej podchorąży Jeleń, a najwyżej ppor. Jeleń.

Nim zakończył, upewnił się jeszcze raz, że zrozumiałem dobrze, iż samowolne opuszczenie bramy będzie uważane za dezercję. Zapewne jego główną troską było, abym nie umknął z bronią.

Następnie zaprowadził mnie na stanowisko w bramie domu Okrąg 2, odległe w linii powietrznej o dziesięć metrów od komórki. Zostałem przedstawiony dowódcy warty w osobie wysokiego i chudego podchorążego Misia z „Zośki”, z plutonu Księcia. Tur niejako wypożyczył mnie Misiowi na czas trwania służby. Przydzielono mi pepeszę. Pierwsze pół godziny spędziłem składając i rozkładając automat, wyjmując, wkładając i ładując bęben.

Uczyłem się strzelać ogniem pojedynczym i serią. Następnie wielokrotnie powtarzałem wszystkie zabiegi patrząc przed siebie, podobnie jak pianista koncertowy, który grając nie przygląda się własnym palcom.

Co za broń - 72 kule w magazynku. Jeden pluton berlingowców miał więcej siły ognia niż cały batalion „Chrobry”.

Stanowisko składało się z położonej na parterze dozorcówki, do której wchodziło się z bramy po paru schodkach. Aby przedostać się do piwnic lub do innych mieszkań, należało przejść podwórzem kilka kroków w lewo do najbliższej klatki schodowej. W piwnicy skręcało się na prawo; za drugimi drzwiami po prawej stronie korytarza znajdowała się nasza komórka, gdzie zwykle przebywał Tur. Innego połączenia z resztą domu brama nie miała. Od objęcia służby nie wyszedłem nigdy na podwórze poza tym króciutkim odcinkiem do najbliższej klatki schodowej, który jeśli przebywałem szybkim krokiem, a nie biegiem, to tylko dlatego, aby nie budzić sensacji

wśród powstańców i cywilów zajętych gotowaniem. Samą bramę, ściślej szeroki i wysoki korytarz łączący podstawę trójkątnego podwórza z ulicą Okrąg, zamykały żelazne wrota, których górną połowę stanowiła gęsta, ozdobna krata. Oka kraty wypełniały brudne szybki, niewiele było przez nie widać. Na ulicę wychodziło się małymi drzwiczkami osadzonymi we wrotach. Od wewnątrz wrota podparto barykadą do wysokości piersi. W stosunku do zewnętrznej powierzchni ściany domu wrota były cofnięte o krok - za mało miejsca, żeby tam się schować. Dlatego u wylotu bramy, dla osłony przed ostrzałem od strony Czerniakowskiej odległej stąd o kilkadziesiąt metrów, zbudowano krótkie półkoliste umocnienie. Dalej w poprzek ulicy biegła nie dokończona przesłona z różnych gratów, stołów, krzesel, na które zarzucono pościel i materace; na drucie wisiały ręczniki, prześcieradła. Przesłona kończyła się przy kilkupiętrowej żółtej ścianie, jedynej pozostałości po zwałonej nowoczesnej kamienicy. Z lewej do żółtej ściany przylegał czerwony dom, cały z surowej cegły, pusty, nie wykończony, stojący już na rogu Czerniakowskiej i Okręgu. Po drugiej stronie Czerniakowskiej wciąż byli Niemcy. W czerwonym domu i za żółtą ścianą - Polacy.

Miś postawił mnie na zewnątrz wrót, za półokrągłym umocnieniem z worów piasku i płyt, z poleceniem strzelania do każdego, ktokolwiek by biegł przez Czerniakowską do Czerwonego Domu. Sam zaś powrócił do mieszkania dozorczy na swój punkt dowodzenia w służbówce na łóżku.

Załoga bramy składała się z paru berlingowców i paru powstańców, rozbitków czy niedobitków z miejscowego oddziału. Aby uniknąć przemęczenia, mieliśmy się zmieniać co cztery godziny i dlatego nikogo dobrze nie zapamiętałem. Kilkakrotnie usiłowałem nawiązać osobisty kontakt z Misiem, wspominając Starówkę i Wolę, chwalać się, że studiuje medycynę; to ostatnie nawet mnie samego przestało obchodzić. Miś pozostał małomówny. Spędzał cały czas na łóżku w służbówce. Czasem wstawał, zajrzał, co robimy, wychodził na krótko. Wydawało mi się, że jak niektórzy z „Zośki”, nie chciał się z pospólstwem bratać albo był przemęczony Powstaniem; to znów, że się nudził albo coś go gryzło. Nie było sposobu, aby go ożywić i rozweselić. Podejrzewałem, że więcej wiedział niż mówił. Jak się później okazało, do pewnego stopnia miałem rację.

Naszym dowódcą według Misia był Książę, podporucznik, o którym już w Śródmieściu słyszałem. Więc po wojnie podkreślam, że na Okręgu walczyłem pod Księciem (choć nigdy nas w bramie nie

odwiedził), aż ktoś mi wytknął, że Księżę poległ dzień wcześniej, niż ja dotarłem na Okrąg. Miś o śmierci swego dowódcy ani pary z ust nie puścił. Z powodu apatii Misia ja z konieczności zająłem się wtajemniczaniem niedoświadczonych kolegów w arkanach walki w terenie gęsto zabudowanym. Nawet berlingowcy, choć mieli za sobą frontowy staż, niektórzy wcale okazaży, żyjąc wśród pól i lasów nie wiedzieli, jak się obracać w tym labiryncie i dlatego już w pierwszych godzinach wielu zginęło. Wyrzucić chłopca w środku wielkiego miasta, gdzie wszystkie domy podobne - czuje się zagubiony, a co dopiero, jeśli jeszcze do niego strzelają. W godzinę podbudowałem swój autorytet opowieściami z Woli i Starego Miasta, pouczając, gdzie należy stać i co robić, gdyby Niemcy wyskoczyli stąd, stamtąd.

W rzeczywistości nic się tu nie działo. Sądząc po bliskich i długich seriach kaemów, ogień piechoty musiał być skierowany na front i na przeciwną stronę kamienicy od ulicy Wilanowskiej. Ludzie tak przywykli do strzelaniny, że życie biwaku na podwórzu toczyło się bez zmian.

Po drugiej stronie Okręgu panowała martwota. Pomyślałbyś, że przed nami znajduje się ziemia niczyja, gdyby nie to, że czasem ktoś przebiegł poza osłoną do żółtej ściany lub wynurzał się spoza rumowiska i pomykał ku nam. W jednym z nich poznałem starszego kolegę z dawnych czasów, szatyna o piwnych oczach i śniadej cerze, Jerzyka, bo tak mu było, zdaje się, na imię i od tego imienia utworzył sobie pseudonim. Dwie gwiazdki na ramieniu, ręka na temblaku, w bluzie panterki, z gołą głową i bez broni. Utykając wolno przebiegł Okrąg.

Jeszcze przed wojną z wielką cierpliwością uczył nas, dzieciaki, gry w piłkę nożną. Lekcje odbywały się zwykle w zaułku pomiędzy moim domem a murem przyległej fabryki wypalanej w 1939 roku. Towarzyszyły im czasem takie wrzaski i kurzawa, że raz rozszokowany pan Kamiński - były przedwojenny emeryt, uważany dotąd za człowieka dobrotliwego i przyjaciela młodzieży - przerwał zasłużony posiłek po dniu pracy i rzucił nam na głowy gorący sztuczny ryż z wysokości trzeciego piętra, sprawiając piłkarzom wielką radość. Podnieśliśmy nieludzki ryk, jakby nas spryskano wrzącą smołą. Niektórzy padli na ziemię udając, że wiją się z bólu. W tych lekcjach okazywałem największą wytrwałość i nieraz, gdy wszyscy powlekli się wyczerpani do domów, tylko ja i Jerzyk pozostawaliśmy na placu. Jak mi to wtedy imponowało, że siedemnastoletni mężczyzna uważa mnie, czternastoletka, za najzdolniejszego z całej czeredy i nie

szczędzi swego czasu!

Kiedyś byliśmy równego wzrostu, teraz przerosłem go o ćwierć głowy. Nic się nie zmienił i jak zwykle wydawał się zadowolony z życia. Został ranny w nogę i w ramię, teraz czuje się lepiej, obchodzi stanowiska.

- Ho! ho! - pomyślałem - byle kto pełnego porucznika w „Zośce” nie dostanie. Odczułem dumę, że mam takiego kolegę. Nigdy dotąd z porucznikiem nie byłem na ty, i to jeszcze z „Zośki”. Pogawędziliśmy chwilę i odtąd, ilekroć wpadał do bramy, wymienialiśmy co najmniej kilka słów. Przebywał Okrąg w potrójnym czasie. Wstrzymywałem oddech, gdy powolutku, kulejąc, biegł przez dość szeroką w tym miejscu ulicę.

W bramie nie było wiadomo, jak się usadowić. Jeśli stałeś przed wrotami, Niemcy widzieliby cię jak na dłoni, gdyby się wdarli za żółtą ścianę. Za to spoza wrót, przez koślawe szybki witraży dało się odróżnić zaledwie cienie i jasne plamy. Kolbą wybiłem kilka szybek, nie za wiele, aby wrogom nie ułatwić wglądu i wzbudziłem uznanie moją pomysłowością oraz ogólnym podejściem do spraw wojny, pedantycznym choć beztroskim. Jakbym się zabierał do smażenia jajecznicy czy siania łóżka. Był to jeden z najprzyjemniejszych momentów Powstania. Czas schodził na rozmowach. Teraz, z pepeszą w rękę, życzyłem sobie, aby Niemcy skądś nieopatrnie wyskoczyli.

Tymczasem nic się nie działo w polu widzenia. Za skrzyżowaniem Okręgu z Czerniakowską, aż do Dziennikarki przy Rozbracie, rozciągał się otwarty teren zarzucony gruzem jeszcze z 1939 roku i porośnięty chwastami. Nie miałem wątpliwości, że gdzieś tam kryli się Niemcy. Nie znając pepeszy, postanowiłem ją wypróbować, bo amunicji było w bród. W tym celu rozejrzałem się po przedpolu i wybrałem parę punktów, gdzie bym sam się schował, będąc Niemcem. Byłem pewien, że nocą paru musiało się gdzieś zamelinować. Starannie celując, oddałem kilka pojedynczych strzałów w podejrzane miejsca w gruzach.

Ośrodek bitwy przesunął się na bok, a w pobliżu zrywały się tylko serie broni maszynowej. Późnym popołudniem udałem się na odpoczynek, pepeszę zostawiając w bramie. Przeskoczyłem pięć metrów podwórza, schodami w dół, w prawo, druga piwnica na prawo. Zaraz ktoś przyszedł żądając wsparcia. Tur czy jeden z Jeleni poprowadził paru z nas piwnicami na drugą stronę Okręgu 2, aby gasić cukiernię Żmijewskiego. Był to parterowy domek położony po

przeciwnej stronie Wilanowskiej. Ściemniało się. Wymigałem się od gaszenia za cenę pożyczania hełmu jednemu z ochotników. W grupie szykującej się do przeskoczenia do cukierni zobaczyłem niejakiego Zygmunta Z., też rodem ze Śniegockiej, niezmordowanego przeciwnika w grze w dwa ognie.

Rozlegał się suchy trzask strzałów karabinowych snajperów, jeśli na miano snajpera zasługuje ktoś, kto mierzy do człowieka z czterdziestu kroków. Potem znowu uzbrojeni powstańcy chcieli, abym poprawił umocnienie na chodniku przy oknie piwnicznym, tym samym, przez które wskoczyliśmy do środka z Romanem ubiegłej nocy. Wykręciłem się brakiem hełmu. Obawiałem się, że groźbą użycia rewolweru zmuszą mnie do wyjścia na zewnątrz. Żołnierze uważali, że dosyć narażają się walcząc, i nie chcieli pod ogniem budować umocnień. Ja też podobnie myślałem na Starym Mieście. Ci, co mnie wypychali do naprawy osłony, musieli wiedzieć, że szansę dokończenia pracy były pół na pół. Pierwszy raz od przybycia na Okrąg ogarnęło mnie przygnębienie. Po tamtej stronie kamienicy, przy bramie, żyło się prawie jak na zaciszu. Była to zaostrzona służba wartownicza. Tu opatrywano żołnierzy ze świeżymi ranami. Wyczuwało się bezpośrednią bliskość Niemców. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego sytuacja wojskowa nie poprawiła się od wczoraj.

Wróciłem na punkt zbiorczy Tura w komórce. Przyszedł Jeleń, podchorąży z kozią bródką, i przy świeczce poszeptali z Turem spoglądając na mnie. Pewnie wymieniali uwagi na temat mego zachowania. Może mnie wyrzucą i nie dostanę jedzenia.

Nocą poszedłem piwnicami na drugą stronę podwórza w poszukiwaniu starszego strzelca Wino, który mi poręczył zwrot hełmu. Gdy się rozwidniło, poszedłem jeszcze raz. Tym razem odnalazłem go, ale hełmu nie było. Udawałem się tam wielokrotnie, a że Wino nie miał stałego miejsca postoju, więc musiałem obchodzić południowe skrzydło piwnicy, przepychając się powoli wśród ludzi i tobołów, zaglądając do każdej komórki, gubiąc się. Tu go widzieli, tam go widzieli, zaraz wróci. Mylili Wino z innymi powstańcami, choć wyróżniał się starszym wiekiem. Była to prawdziwa wyprawa w nieznane i niepewne, która za każdym razem zajmowała mi sporo czasu.

Znowu spotkałem Zygmunta Z., kulał. Przy gaszeniu cukierni dostał postrzał w kostkę. Może człowiek ma we krwi przymus gaszenia ognia i trzeba dużego wyrobienia, aby ten odruch opanować. Inaczej jak wytłumaczyć, że gasili pożar w domku, który

dzielił Polaków od Niemców. Na Starym Mieście sami podpalaliśmy. Dom płonie pół dnia, żarzy się drugie pół dnia i front stabilizuje się na dwadzieścia cztery godziny.

Z Zygmuntem, synem dozorca, znaliśmy się od dziecka. Wołali go Zegmont. My, dzieciaki, zwłaszcza te z inteligenckich rodzin, lubowaliśmy się w używaniu nieprawidłowych form językowych, za co karcono nas w domu. Zamiast „potrzymaj to” mówiło się „potrzym to”, zamiast „zaraz, teraz”, „zara, tera”. Przy grze w dwa ognie Zygmunt, alias Zegmont, był mistrzem uniku, zwodził ciałem, zezem, brwiami, oczami, tu patrzył, tam rzucał.

Po wojnie oświadczył, że nie ma żadnych wspomnień z Powstania, potem słyszałem, że przystał do milicji. Raz go spotkałem po wielu latach na Służewcu, był już porucznikiem, potłuścił, zwłaszcza na twarzy i karku. Udaliśmy, że się nie widzimy, bo trudno było udawać, iż się nie poznajemy.

W końcu odnalazłem Wino, wciąż tytułując go starszym strzelcem, może ze względu na wiek, pomimo iż sprostował to parę razy podkreślając, że jest tylko zwykłym żołnierzem. Wino z ubolewaniem zawiadomił mnie, że hełmu nie udało się odzyskać, ponieważ powstaniec, który go pożyczył, poległ, a inny powstaniec, znany strzelcowi Wino, przywłaszczył go sobie. Wino upewnił mnie, że jeśli natknie się na tego drugiego, to zażąda zwrotu hełmu. Patrzyło mu dobrze z oczu i miałem zamiar wrócić jeszcze raz, ale wydarzenia w rejonie bramy odciągnęły moją uwagę od skrzydła przy Wilanowskiej, gdzie przebywał Wino. Nie pozostało mi nic innego, jak walczyć z gołą głową. Odtąd byłem jedynym członkiem załogi posterunku „brama” od stóp do głowy po cywilnemu, nawet bez opaski. Już przywykłem do hełmu i goła głowa znowu zawadzała mi; wciąż byłem jej świadomy, jak człowiek, któremu nagle włosy wypadły lub który musi spać bez poduszki. Nie darmo we wszystkich armiach wbijają w pamięć, że żołnierz bez czapki jest jak bez głowy.

W czasie, gdy szukałem Wino, powstańcowi Baranowi przestrzelono w bramie pęcherz. Berlingowcy jakoby wzięli go za Niemca, ale jak zwykle w takich sytuacjach, nie było jednomyślności, więc byliśmy szczególnie ostrożni stojąc przed wrotami. Okrąg 2 tak był zatłoczony uciekinierami z Szarej, Śniegockiej, Rozbratu i Czerniakowskiej, że i w nocy gotowano na podwórzu. Odblask ognisk czerwienił ściany, oświetlał postacie warujące przy kotłach i zaimprovizowanych kuchenkach. Z nastaniem dnia wydłużyły się kolejki przed paleniskami. Ilość mogiłek w ostrym kącie podwórza

potroila się od wczoraj rana. Usypane ostatnio nie miały ani krzyży, ani tabliczek z nazwiskami.

Z mieszkania dozorca przyglądałem się jak zrywano asfalt i kopano nowe doły. Kilka zwłok czekało na swoją kolej. Łatwo było odróżnić pierwsze groby, odznaczały się wysokimi, starannie uformowanymi kopcami. Cmentarz wypełniał już trzecią część podwórka, rósł szybko i wypierał biwak.

Ranek niczym by się nie różnił od poprzedniego dnia, gdyby nie eksplozja, która nieoczekiwanie wstrząsnęła podwórzem. Powstał niesamowity harmider, krzyki, kto mógł, uciekł. Zaskoczyło nawet mnie, że potrafili upuścić granatnik na dno takiej głębokiej i wąskiej „studni”. Ledwo pierwsze wrażenie minęło, mnóstwo ludzi powróciło na podwórze, aby wynieść rannych i ratować resztki zupy z podziurawionych kotłów. Wielu zapewne i ze zwykłej ciekawości. Podskoczyłem do okna i nie wychylając się krzyknąłem:

- Chować się! Granatniki!... granatniki!... - Bez skutku. Tyle mi się udało, że powstrzymałem samarytańskie zapędy załogi bramy.

Ludzie uważają, że pocisk nie uderza dwa razy w to samo miejsce, podobnie jak w ruletce ten sam numer nie wychodzi raz po raz. Minęło zaledwie kilka minut i nagle dwa granatniki wybuchły na podwórzu pośród tłumu. Nigdy nie słyszałem tylu ludzi naraz wijących się z bólu. Od tego momentu moja reputacja w bramie ugruntowała się. Nawet Miś, zorientowawszy się, z kim ma do czynienia, informował mnie, gdy wychodził na parę minut, a wracając czasem pytał, co słyhać. Od czasu, gdy granatniki spadły na podwórze, żołnierze obserwujący spoza wrót żółtą ścianę obawiali się, że dostaną odłamkami w plecy. Nie było z czego zbudować osłony od tej strony.

W prawo od bramy znajdowała się jeszcze jedna kamienica, Okrąg 4. Dalej rozciągała się pusta przestrzeń, którą od Wisły przegradzała linia bliźniaczo podobnych domów, widać je było jak przez opary. Zdarzało mi się często, gdy w pośpiechu wyglądałem na przedpole, że kontury zamazywały się, jakby wszystko drżało w rezonansie bitwy.

Jak już wspomniałem, po przeciwnej stronie Okręgu 2, pierwszy od Czerniakowskiej stał nie dokończony Czerwony Dom, potem żółta ściana i szereg kamienic, jedna przy drugiej; ulica zakręcała w lewo i końca jej nie było widać.

Od pewnego czasu nikt nie biegł od żółtej ściany, więc przyszło mi do głowy podskoczyć tam samemu, rozejrzeć się i zasięgnąć języka.

Nie wiem, co pchnęło mnie do tego, może chęć ugruntowania mej pozycji duchowego przywódcy załogi bramy. Zaledwie jednak znalazłem się za żółtą ścianą, pożałowałem. Spodziewałem się w ruinie polskiego posterunku, a zastałem pustkę. Od Czerwonego Domu dzieliło mnie podwórze zarzucone cegłami. Już nie tylko instynkt samozachowawczy, ale i rozum doradził mi, by nie iść dalej. Kanonada wydawała się tu jeszcze głośniejsza. Obejrzałem się i zobaczyłem umocnienie przed bramą, wrota, a w głębi naszych.

W miarę jak patrzyłem, Okrąg 2 zdawał się oddalać, jakby go powoli znosił niewidzialny prąd. Ogarnął mnie niepokój, czyżbym znowu wygłupił się jak z ugniatarką. Biec z powrotem było za wcześnie. Rozejrzawszy się nie wątpiłem, że Niemcy mnie zauważyli. Warkot strzałów dochodził z równą siłą ze wszystkich kierunków, jakbym był nie na samym skraju frontu, ale gdzieś w środku kotła. Może to sprawiała konfiguracja terenu. Co obejrzałem się za siebie, to widziałem powstańców w głębi mrocznej bramy. Dawali mi jakieś znaki. Starłem się spokojnie ocenić sytuację, aby nie pałać następnego głupstwa. Najważniejsze było rozeznać się, czy czas pracuje na moją korzyść. Usadowiony za murkiem nastawiłem pepeszę na ogień ciągły i postanowiłem zaczekać na łączników. Nikt jednak nie ukazywał się. Czyżby nasi się wycofali? Miejsce, gdzie się znalazłem nie nadawało się do obrony. W promieniu kilkudziesięciu kroków nie było wygodnej kryjówki, skąd samemu będąc niewidocznym, miałbym na oku podejście od Czerwonego Domu z lewej strony, oraz amfiladę podwórek na wprost. Na dobitkę, bez okularów, mogłem pomylić powstańców z Niemcami. Głowiłem się, czy strzelać od razu, czy podpuścić ich, i na ile. Siedziałem dość długo, zanim doszedłem do wniosku, że czas zaczął pracować przeciwko mnie. Cofnąłem się dla nabrania rozbiegu i kilka razy głęboko odetchnąłem. Za trzy sekundy byłem w bramie. Poczułem się, jakbym przeskoczył z tratwy na pokład pancernika.

Do dziś niezupełnie rozumiem, dlaczego wplątałem się w tę służbę wartowniczą. Aby nie siedzieć o pustym brzuchu w piwnicy, wystawiałem półpełny brzuch na kule w bramie.

Dom drgał lekko od uderzeń pocisków w ścianę od strony Wilanowskiej. Dominował nieustanny grzechot broni maszynowej z wielu luf naraz. Coraz to znosili powstańców „Radosława” z postrzałami głowy. Grobów już nie kopano, noszowi kładli ciała po drugiej stronie podwórza i szybko umykali na klatkę schodową.

Nie pamiętam dokładnie, co wtedy rano 17 września myślałem o ogólnej sytuacji. Prawdopodobnie, że walka z nieznanymi powodów się przewleka, lub że Rosjanie jeszcze w całości nie przeprawili się na tę stronę. A Niemcy, jak to Niemcy, jeśli dostali rozkaz od Hitlera zniszczyć Warszawę, będą atakować nawet, gdy im Rosjanie zajdą od tyłu. Wyrwać jeszcze dzień, dwa. Powoli jednak narastało we mnie przekonanie, że dzieje się coś niezrozumiałego. Biuletyny i pisma nie wychodziły od kilku dni. Ostatnią gazetę czytałem jeszcze na Śniegockiej. Nie było nawet odbijanych na powielaczu wiadomości radiowych z ostatniej chwili. Pierwszy raz od wybuchu Powstania nie miałem dostępu do żadnych informacji. Wiedziałem tylko to, co się działo na Okrąg 2, i to głównie zawdzięczając własnym obserwacjom.

Miś przesunął mnie na stanowisko przy oknie w mieszkaniu dozorczy z rozkazem strzelania do każdego, kto biegnie Czerniakowską do Czerwonego Domu. Przyniosłem sobie krzesło, położyłem puchową poduszkę, nie to, żeby mi było twardo siedzieć, ale dla fasonu, aby pokazać żółtodziobom, jak Starówka walczy. Drugie krzesło postawiłem z przodu, oparłem o nie lufę pepeszy i wycelowałem w zbieg Czerniakowskiej i Okręgu.

Nie otwierając oczu wiedziałbym, co się dzieje. Kulomioty równo wystukiwały. Pistolety maszynowe, nie mając tej samej twardości, przypominały pośpieszne klaskanie, zwłaszcza słyszane z dala. Pepesze jakby odrobinę szybciej biły od niemieckich szmajserów. Berlingowca łatwo poznać, bo pruje aż mu się cały bęben wykręci, 72 kule na jedną serię, wprowadzając powstańców w osłupienie taką rozrzutnością. Podobno jednemu lufa tak się rozgrzała, że kule padały na ziemię o kilkanaście kroków.

Czołgi obsiadły nas i opukują jak dziecięta, wydłubując ludzi z zakamarków i szczelin. W odróżnieniu od zwykłej artylerii ich pociski nie świszczą, nie gwizdzą, nie wyją, ale dają podwójne eksplozje; jedna często jest głośniejsza, trzeba na to uważać. Jeśli rozlegnie się bum-BUM - to znaczy czołg stoi z dala, bije bliżej ciebie. Jeśli BUM-bum, to na odwrót, stoi blisko, bije w odległego sąsiada. Oczywiście, nie jest to aż takie proste, wchodzi w grę także element czasu.

Załóżmy, że sekunda równa się z grubsza ośmiu kreskom: - - - - -
- - - - .

Powiedzmy, że czołg stoi o 150 metrów i strzela skośnie w punkt odległy od ciebie też o 150 metrów, wtedy usłyszysz coś w rodzaju:
bum - - - - bum, bum - - - - bum itd.

Możesz sobie spokojnie siedzieć na swoim stanowisku strzeleckim.

A oto dźwięk zaczyna się zmieniać:

**bum - - - Bum, bum - - - Bum, bum - - - Bum,
bum - - BUm, bum - - BUm, bum - - BUm.**

Drugi wybuch staje się coraz głośniejszy i zbliża do pierwszego:

bum - BUM, bum - BUM.

Wstawaj szybko i w nogi, następny pocisk może polecieć wprost na ciebie. Czołgista też zna się na rzemiośle, więc nie licz na to, żeś się dobrze zamaskował.

Jeśli strach cię nie zamracza, jeśli umysł masz dociekliwy, nauczysz się rozumieć mowę śmierci, tak jak ludzie lasu rozumieją mowę ptaków i zwierząt. Choć słuch mam przytępiony i słowa mi się zamazują, niewielka to strata, bo lufy dobrze słyszę i rozumiem. Ludzkie rady niejednego do grobu wpędziły, lepiej przysłuchiwać się bitwie.

Siedzę, siedzę, nikt nie przychodzi, nawet nie wiem, co tam nowego z tyłu w bramie. Miś pewnie w służbówce się wyleguje. Czasem wstanę, wyprostuję nogi nie spuszczając oczu ze skrzyżowania.

Nie daje mi spokoju, że Niemcy mogą podbiec wzdłuż ściany, wrzucić granat do środka i wdrapać się przez okno. Jak widzieć wroga, samemu pozostając niewidocznym? Jest to kwadratura koła, z której rozwiązaniem boryka się każdy na pierwszej linii ognia, zwłaszcza na takim stanowisku jak tu, przy oknie, skąd pole widzenia jest znikome, a za to zewsząd widać wysuniętą głowę.

Pocisk wybuchł na Czerwonym Domu, drugi, trzeci. Ustawiłem sobie pepeszę wygodnie na oparciu pierwszego krzesła. Wymierzyłem tuż obok ściany Czerwonego Domu. Gdy wyskoczą z lewej na skrzyżowanie, będę miał ze trzy sekundy, wypuszczę serię, gdy już będą o jeden skok od celu, sami wpadną mi pod lufę jak pod maszynę do szycia. Czołg bije raz po raz w równych odstępach, kurz bucha z pustych okien Czerwonego Domu. Strzela tak regularnie, że zaczyna mnie nużyć i nudzić to uważanie. To, co słyhać, nie jest ani **bum - - - - bum**, ani **bum - - - Bum**, ani **bum - - BUm**, ani nawet **bum - BUM**. Tylko zwykłe, pojedyncze **BUM** co minuta albo częściej.

Zacząłem się denerwować, kiedyż nareszcie wyskoczy ta piechota, oby tylko pepesza mi się nie zacięła. Przerwa po ostatnim strzale jakby się przeciągała. Na co czekają, zastanawiałem się, kurz przecież już się rozwiął i opadł. Co też on robi, ten czołg? Nie strzela, chyba nie odjeżdża, nie słyhać motoru.

Kręci lufą! - przemknęło mi przez głowę - na mnie! Wstałem z krzesła, by wyjść. W połowie pokoju coś mnie tknęło, późno już, rzuciłem się więc skokiem do drzwi. Ledwo wypadłem na korytarz, gdy dmuchnęło i pociemniało. Kiedy kurz opadł, wyjrzałem. Pocisk uderzył nie w moje okno. Miś pewnie zabity! Zaglądam do służbówki: futryna wyrwana, łóżko zasypane gruzem, ściany podziobane odłamkami, końskie włosie wyłazi z materaca, a Misia nie ma. Wychyłam się i wołam, by wszyscy natychmiast wchodzili do mieszkania, bo w bramę dołoży. Stajemy w korytarzu, bezpiecznym, bo bez okien. Nie wiadomo, co będzie, czołg może strzelić albo piechota zaatakować. Obstawiamy wszystkie drzwi korytarza wychodzące do pokoi od strony ulicy. Dwóch, trzech stoi u szczytu stopni prowadzących do bramy. Zwykła zresztą ostrożność, nie wierzę, by piechota odważyła się na ryzykowny skok w głąb ulicy. Tymczasem czołg zamilkł i nie strzela ani w nas, ani w Czerwony Dom. Motoru nie słychać, pewnie znowu lufę na kogoś nakręca albo nie nakręca. Co robić? Miś przyjdzie, skrytykuje.

Wstrząs, podmuch, zakłębiło się w bramie. Do mieszkania wpadł siedemnastolatek, członek załogi, szary od pyłu. Służył już u Tura w bramie, gdy ja dołączyłem. Wyróżniał się słabymi nerwami i musiałem podnieść głos na niego przy paru okazjach. Stał przede mną i dygocze, broda mu lata, dyszy szybko urywanym oddechem, jakby się miał zanieść płaczem, patrzy mi w oczy, ani słowa wymówić nie może. Krew cieknie z brwi, spływa po policzku. Gdy czołg zamilkł, wbrew mojemu rozkazowi zszedł do bramy.

- Co ci jest? - pytam. Pokazał na czoło. Pomacałem, obejrzałem, skórę tylko przecięło.

- Nic ci nie jest - mówię - zadrapało cię. A on wciąż stoi, dygocze, broda mu lata. Więc wrzasnąłem:

- Czego się trzęsiesz, kurwa mać, wynoś się do piwnicy, tchórze!

Czołg dał nam spokój. Miś wrócił, popatrzył na łóżko i nawet nie pokiwał głową. Już nie pamiętam, czy nadal służyło mu za punkt dowodzenia. Wkrótce przyszedł ktoś od Tura z wiadomością, że „tchórzowi” odłamki weszły do brzucha.

Mój świat ograniczał się do mieszkania dozorca, bramy, pięciu metrów podwórka, kilkunastu stopni, krótkiego korytarza piwnicznego i komórki, gdzie się jadło i spało. Od czasu ostatniej rozmowy z Wino nie przeszedłem piwnicą na drugą stronę domu, choć było to zaledwie kilkanaście kroków. Południowe skrzydło od Wilanowskiej stało się miejscem niedostępnym, jakby je dzieliło nie małe

podwórko, ale fosa. Tam rwały się pociski, terkotały kaemy, stamtąd znosili rannych i zabitych. Strasznie musiało być na samym dziedzińcu od Czerniakowskiej, strzelają ci prosto w twarz, w oczy. Lękałem się, że nas tam przerzucą. W rzeczywistości nie było podstawy do obaw, nigdy by nie powierzono tak ważnych stanowisk drugorzędnym żołnierzom.

Coraz to powracało nieokreślone uczucie, że już to wszystko kiedyś przeżyłem i teraz tylko się powtarza. Ileż razy widziałem podwórka kipiące życiem, kotły dymiące zupą, kotły podziurawione odłamkami, okazałe pogrzeby z trumnami, skromne pogrzeby na kocu, zbiorowe mogiły i wreszcie nie pochowane ciała, leżące szeregiem, smagane odłamkami. Chwilami wydawało mi się to wszystko zmorą nocną, którą już śniłem i choć nie pamiętałem dalszego ciągu, przeczuwałem straszny koniec. To znowu myślałem jak każdy, że skoro Rosjanie wmieszali się przerzucając na ten brzeg berlingowców, to Powstanie skończy się dobrze.

Już po paru godzinach powstańcy zorientowali się, że berlingowcy nie umieją się bić w tutejszych warunkach i giną krociami. Na przykład koło „Społem” podkradli się po ciemku pod niemieckie stanowiska i położyli za beczkami. Niemcy ich usłyszeli, wystrzelali z kaemów, bo beczki były puste. Dowódca nie dał berlingowcom rozkazu odwrotu. Powstańcy w tej sytuacji uciekliby bez względu na rozkazy. Żołnierzom armii Berlinga nieraz szkodziła nadmierna dyscyplina. Powstańcy i Niemcy walczyli niczym w czapkach niewidkach, kryjąc się w głębi mieszkań. Berlingowcy, nim się otrzaskali z walką w mieście, strzelali z okien wysuwając pierś, jak to się widzi na rycinach z czasów Komuny Paryskiej. Moi rówieśnicy w bramie, powstańcy i berlingowcy myśleli i reagowali jak dzieci. Wydawało mi się, że byłem wśród nich jedynym dorosłym i dlatego usiłowałem zbliżyć się do ponurego Misia. Kolegom nie wyjawiałem swych narastających wątpliwości. Wciąż opowiadałem różne kawałki z Woli, ze Starego Miasta i przy okazji pouczałem, starając się tworzyć beztroski nastrój. Niektóre epizody znakomicie się nadawały do tego celu, można było wydobyć z nich wiele żołnierskiego humoru. Jak to nocą, pod batutą Małego, krzykiem odpędzaliśmy czołgi na Wolskiej. Jak mnie zasypało pierwszy raz. Imitowałem Edka przedrzeźniającego Kawkę. Lękałem się, że duch osłabnie, jeśli wyjawię swe prawdziwe myśli. Moje własne bezpieczeństwo zależało od tego, czy uda mi się upewnić kolegów, że jest dobrze, a będzie lepiej. U schyłku dnia 17 września (datę wyliczyłem dopiero po

Powstaniu) zaczęło mi świtać w głowie, że wynik walki o Czerniaków nie musi być automatycznie przesądzony na naszą korzyść samym faktem przybycia berlingowców.

System dowodzenia pozostał nadal zamazany, pomimo że sytuacja zaostrzyła się z tej strony domu. Miś, choć obecny, nadal mało się udzielał, zaś Tur i podchorąży Jeleń rzadko kiedy pojawiali się od czasu zniszczenia biwaku na podwórzu. Było oczywiste, że w bramie obaj czuli się jak goły w pokrzywach. Podporucznik Jeleń wpadał jeszcze rzadziej i dlatego, pomimo władczygo charakteru, nie miał wpływu na zachowanie się załogi, która do końca składała się w połowie z czerniakowskich powstańców i w połowie z berlingowców. Za mojej bytności nie widziałem w bramie żadnego oficera armii Berlinga.

Stałem w bramie przed wrotami, a od żółtej ściany wołali, machali rękami, coś pokazywali. Nie od razu połapałem się, że to o mnie chodzi i do tego zamiast skoczyć do środka, wolno stąpnąłem wstecz jeden krok za załom muru, spoglądając w górę. Tynk ukruszył się półtora metra powyżej mej głowy.

Przesłona zapaliła się i po paru strzałach z małokalibrowego działka rozpadła na kilka oddzielnych członów. Tliły się stoły, fotele, materace. Co przygasało, to znowu dołożyli zapalającą amunicją.

Zbiegłem do komórki na posiłek. Zamknąłem oczy, próbując usnąć i usłyszałem jak Tur półgłosem szepnął Jeleniowi:

- Krok to dobry żołnierz.

Pochlebilo mi to i zarazem przygnębiło. I co z tego, byłem już raz dobrym żołnierzem. Nie tacy jak Tur mogliby poświadczyć, gdyby żyli. Poczułem się jak bankrut, który stracił krocie, a teraz musi się cieszyć jałmużną. Zdrzemnąłem się przed powrotem do bramy. W tym czasie jednego z posterunku ubyto. Młody wsiowy chłopak, berlingowiec o okrągłych jak talerzyki oczach, dostał w czoło, tam, gdzie włosy się zaczynają, jak kapitan Wład. Kula wyorała długą bruzdę. Za życia wyglądał, jakby się ciągle dziwił, a może naprawdę dziwił się - nie miał więcej niż 16 lat, a do tego chyba pierwszy raz był w takim wielkim mieście. Nikt nie zaproponował, aby go wynieść na podwórze, więc rogatywką nakryli mu twarz i został z nami do końca. Nie spytałem, jak to się stało i do dziś nie wiem. Nie zainteresowało mnie jego nazwisko, imię, skąd pochodził. Na Starym Mieście żywą ciekawość zachowaliśmy do samego końca. Tam była to wciąż gra, krwawa gra. Każdy jednak, będąc graczem na śmierć i życie, miał w sobie także coś z widza.

Trzem esesmanom udało się przeskoczyć do Czerwonego Domu. Bronili się aż do zmroku, zranili pięciu naszych granatami. Ciemność zapadła, kukuruźniki wyleciały na niebo. Co noc zrzucały zasobniki bez spadochronów. Mniejsza o żywność, ale jak strzelać z karabinu maszynowego, który wyrznął o bruk z wysokości 200 metrów.

Ledwo dzień nastał, rozpętała się strzelanina jeszcze gwałtowniejsza niż poprzedniego dnia, podobna do nieustannego warkotu. Wiadomości nie było żadnych poza pogłoskami, że dwóch esesmanów leży przed spaloną cukiernią, że niewypał wpadł do piwnicy od Wilanowskiej, że na Zagórnej jest dobrze.

Na Starym Mieście orientowaliśmy się w położeniu niemieckiej piechoty po dymnych rakietach. Tu pole widzenia zasłaniał Czerwony Dom i żółta ściana, a z podwórka-studni widać było tylko mały trójkąt zadymionego nieba.

Przypomniały mi się słowa Lecha, wypowiedziane na Harcowisku Granatników.

- Jeden brat dostał w czapę; drugi brat w czapę, to i ja mogę dostać w czapę.

Wtedy dodało mi to otuchy, że nie ja jeden. Teraz na myśl o czapie, widziałem siebie wśród rozwalonych na Senatorskiej - nadwęglone wyschnięte twarze, dziury w czołach. Ni stąd, ni zowąd ogarniał mnie optymizm. Bez sztukasów Niemcy nie wygraliby na Starym Mieście, a tu mamy osłonę z powietrza, wsparcie artylerii, zdyscyplinowana regularna armia jest z nami. Amunicji mają tyle, że według staromiejskich norm powinno wystarczyć do Berlina. Wciąż uważałem berlingowców za starszych braci, którzy dokończą, cośmy po dziecinnemu zaczęli. Skoro Stalin wysłał berlingowców na warszawski brzeg, to nie pozwoli im wyginąć i my się razem z nimi uratujemy.

Już drugiego dnia służby wartowniczej strzępy takich i podobnych myśli przebłyskiwały mi w głowie, jedna drugą goniła, jedna drugiej zaprzeczała. Czy warowałem przy wrotach, czy czałem się przy oknie, czy rozmawiałem, wewnętrzny dialog nie ustawał. To huk strzałów echem odbijał się wewnątrz mego ciała, wprawiając w drżenie wszystkie włókna, to na odmianę czułem się jak na bezpiecznych manewrach. Jakby wiatrak w huraganie przesłaniał mi świat, raz słońce błyskało, raz cień padał. Okresy nieokielzanego optymizmu i cichej rozpacz przeplatały się nieustannie. Cichej, gdyż aby nie odbierać odwagi młodszym kolegom, udawałem wesołość i dziarskość. Rozpacz w obliczu nieuniknionej śmierci i radość w

oczekiwaniu rychłego odwrotu Niemców nadchodziły falami w coraz krótszych odstępach czasu. Mój umysł ulegał jakiejś aberracji. W jednej chwili wszystko wskazywało na pomyślny obrót spraw, a w następnej na odwrót - nie było na czym zaczepić nadziei.

W drzwiach żółtej ściany ni stąd, ni zowąd ukazała się starsza kobieta, z wysiłkiem zmierzając ku nam i z lekka się zataczając. Od pasa w górę wyglądała jakby biegła, wywijając rękoma zgiętymi w łokciach, szybko łapała oddech. Od pasa w dół - ledwie powłóczyła nogami. Koło jej nóg od razu kurz prysnął. Jedni krzyczeli, machali rękami, żeby wracała; inni ją ponaglali. Szła i szła, kurzyło się pod jej nogami. Nawet nie zauważyła, że strzelali. Myślała, że się z niej nabijamy.

- Na przyszłość niech pani uważa - poradził jej któryś. Wojna się jeszcze nie skończyła.

Wkrótce potem por. Jerzyk pojawił się w głębi żółtej ściany.

- Ostrzał! Ostrzał! - krzyknęliśmy.

Czy nie dosłyszał pośród huku, czy też zlekceważył, bo utykając pobiegł nierównym truchtem w naszym kierunku. Kule wzbijały kurz koło jego stóp. I dobiegł, jak zwykle pogodny, beztroski, zadowolony, trochę jak kapitan Wład - jak nie człowiek. Więcej go nie widziałem.

* * *

Z takimi niezwykłymi ludźmi miałbym chęć porozmawiać dziś przy filiżance herbaty, siedząc wygodnie w fotelu. Lata minęły, nie spotkałem żadnego.

Ciekaw byłem zdania innych o sobie, czy ktoś zapamiętał mnie, tak jak ja zapamiętałem Tura i Jeleniów. Gdy Jerzyk przeczyta tę książkę, czy przypomni sobie tego, który go tak pamięta?

Słusznie mówi się, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem może. Trzydzieści lat po Powstaniu spotkałem na Zachodzie Czecha o niemieckim nazwisku Harry L. W przerwie pomiędzy przesłuchaniami w amerykańskim kontrwywiadzie poszliśmy sobie w trójkę do znanej Bierstube w Norymberdze. Okazało się, że to nie Czech, ale Niemiec, który przesiedział dwanaście lat w czeskim więzieniu. Nie znał wiele życia, bo gdy wojna się skończyła miał 21 lat. Polaka zawsze ciekawi, co Niemiec robił w czasie wojny. Okazało się, że był w Warszawie w czasie Powstania.

- W jakiej jednostce - spytałem.

Szkoła oficerska z Poznania. Gdyby uszy mogły, stanęłyby dęba. Nawet wzięliśmy jeńców z tego oddziału.

- Szkoła oficerska SS? - spytałem.

- Wehrmachtu - odpowiedział.

Podejrzewałem, że skłamał. Pewnie za przynależność do SS wsadzili go do więzienia. Czesi nie patyczkowali się.

Harry opowiedział, jak to 19 sierpnia, podczas walki o kwadratowy starożytny budynek (najoczywieściej Arsenał), pochylił się, aby podnieść polskie dziecko i otrzymał postrzał w udo. Harry napomknął, że nie ma o to żalu, gdyż z daleka łatwo było błędnie zinterpretować jego intencje.

* * *

Dzień już posunął się nieco i byłby czas na drugie śniadanie, gdy nagle strzelanina wzmogła się, choć kucie czołgów ustało. Biły setki kulomiotów. Tego jeszcze nie było. Nie mogłem odgadnąć, co się dzieje. Ktoś wpadł do bramy wołając:

- Amerykanie, latające fortece!...

- Spadochrony! - woła inny.

- Spadochroniarze! - krzyczy trzeci. Szybko zerknąłem przez żelazne drzwiczki i zobaczyłem wysoko na niebie spadochron jeden, drugi... Niemcy zapomnieli o nas, że wszystkich luf bili w górę.

- Desant!...

Szalona radość ogarnęła bramę. Gdyby nie to, że nieprzyjacieli obok, ściskalibyśmy się i strzelali na wiwat. Wytrwaliśmy do końca Powstania! Rosjanie i Amerykanie nam pomagają! Spadochrony zniżyły się. Wyglądają na zasobniki. Wpada miejscowy powstaniec i zaklina się, że spadochroniarz wylądował na Szarej. Widzieli, jak ruszał nogami. Sprawdzić nie można, bo to już po niemieckiej stronie. Fortece odleciały i choć zdawało się, że wiele zasobników wiatr zniósł do Niemców, nastrój w bramie był odświętny. Kto by pomyślał patrząc na błękitne niebo nakrapiane kolorowymi spadochronami, że Amerykanie składają wieniec na grobie Warszawy.

Koledzy zawołali mnie na posiłek. Oddałem pepeszę i zbiegłem do piwnicy. Ledwie zacząłem jeść, gdy piwnica zafalowała, ściana za moimi plecami zachwiała się, sypnęło okruchami tynku.

- „Goliat” - wyjaśniłem i jadłem dalej, tyle że prędeej. Nim skończyłem, druga eksplozja zakotłosała domem.

- Teraz piechota skoczy - krzyknąłem.

Coś obudziło we mnie dawnego ducha: Amerykanie nad Warszawą; słowa Tura, że Krok jest dobrym żołnierzem; chęć pokazania im, co Starówka warta; pokusa ugruntowania mojej dobrej

reputacji na pięć przed dwunastą. Zerwałem się i pomknąłem schodami w górę. Jeszcze pył wisiał nad podwórzem, ceglasta mgiełka. Chłopakowi zdmuchnęło rogatywkę z twarzy; jego oczy, otwarte jeszcze szerzej niż za życia, zmatowiały od kurzu. Obstawiliśmy stanowiska od ulicy. Nie mogłem odnaleźć mojej pepeszy. Biło tyle pistoletów maszynowych, że trudno było się zorientować skąd. Stałem po wewnętrznej stronie wrót wpatrzony w żółtą ścianę. Raz po raz wybuchały ręczne granaty. Coś mnie tknęło - to przecież na podwórzu. To, czego doświadczyłem w tym momencie, da się chyba porównać z uczuciem człowieka, który wszedł do łaźni, a gdy drzwi zatrzasnęły się, uświadomił sobie, że jest w komorze gazowej. Niemcy zajęli dziób kamienicy.

Dziesięciu nas zostało odciętych. Patrząc z bramy w dół pobliskiej klatki schodowej widać było wielki ruch w piwnicy. Wszyscy szli na prawo do przejścia na Okrąg 4. Wszedłem do mieszkania w poszukiwaniu jakiegoś łomu czy siekiery, by przebić otwór w podłodze. Na próżno na czworakach przejrzałem wszystkie zakamarki. Ani od strony podwórza, ani od ulicy nikt nie obstawiał okien. Wszyscy tłoczyli się w bramie lub na schodach wiodących do dozorcówki. Obok leżał zabity wczoraj chłopak. Okrągłe jak talerzyki, szeroko otwarte, zakurzone oczy patrzyły w sufit i trochę na nas. Dotąd mi nie zawadzał, uważałem go za normalną część składową naszego stanowiska bojowego, rodzaj dekoracji teatralnej. Teraz jego spokój i obojętność w obliczu tego, co się będzie wkrótce działo, były nie do zniesienia. Coraz to nawijał się pod oczy. Nie chciałem umierać, z bronią w ręku czy bez broni!

Myśli z obłądną szybkością mknęły mi przez głowę. Jak wydostać się z tej matni. Wystarczyło popatrzeć na innych, by zrozumieć, że nie było sposobu. Będą strzelać z podwórza i od żółtej ściany, kto wysunie głowę - dostanie. Wrzucą granaty przez okna.

Berlingowiec, stojący obok mnie na skraju bramy, mały, kościsty, odbił się i wyskoczył na podwórze. Już zrobił pięć metrów i był prawie na progu klatki schodowej, gdy pociągnęli po nim. Seria kul odłupała kawał tynku tuż obok jego prawej łydki. Postanowiłem zapamiętać to miejsce na po wojnie. Skoro nie trafili z tak bliska - pomyślałem - to znaczy, że go nie widzieli, zapewne zasłonił go wykusz muru z prawej. Musiało mi się chwilami mącić w głowie. Podparłem się i ja do skoku, gdy drugi berlingowiec schwycił mnie za ramię i przytrzymał. Ocalił mi życie. Minęło dobre kilka sekund, zanim to zrozumiałem. Oparty plecami o ścianę, ze skraju bramy nadal

widziałem ludzi w dole klatki schodowej; szli i szli piwnicą ku wyjściu. Cały dom musiał się ewakuować. Mdlilo mnie tak bardzo, że z trudem oddychałem. Niemcy zajmą cały dom, a nas kilku zostanie w dozorcówce. Berlingowców wezmą do niewoli, a resztę rozwalą tu, na podwórzu przy grobach. Wymieniałem uwagi na temat sytuacji z żołnierzem, który dopiero co ocalił mi życie, gdy mój rozmówca drgnął. Twarz mu się zmieniła, cofnął się o krok i z lewego rękawa pociekła krew. Niemcy posunęli się w głąb domu po przeciwnej stronie podwórza i już z ukosa strzelali w bramę. Wtem powstaniec, także nie uzbrojony, krzyknął do mnie, że od ulicy, kilka metrów w prawo jest nie zakratowane okno do piwnicy. Nie było sekundy do stracenia. Choć ulica znajdowała się na widoku Niemców, wyskoczyliśmy przez wrota i biegiem w prawo, on pierwszy. Dopadłem okna i głową naprzód stoczyłem się na węgiel. Zostało jeszcze nieco cywilów, widać postanowili już się więcej nie tułać. Odnalazłem znajomy korytarz, minąłem wejście na klatkę schodową i naszą komórkę po prawej, do której nawet nie zajrzałem. Komórka i tak pewnie znajdowała się pod ostrzałem, granat mógł się wturlać z podwórza przez okienko pod sufitem. Pomknąłem do przejścia na Okrąg 4. Za sekundę zwłoki można było dostać wieczne odpoczywanie. Jeśli Tur żyje i mnie pamięta, zapewne myśli, że dostałem w czapę w bramie.

Z piwnicy przy Okrąg 4, wśród ostrej strzelaniny, przedostałem się do następnego domu. Potem przeszedłem przekopem obok wielkiej, krwawej masy. Gruz dookoła był opryskany strzępami mięsa. Dopiero po chwili domyśliłem się, że to nie człowiek, ale sowiecki zasobnik żywnościowy zrzucony bez spadochronu. W miarę oddalania się od Okrąg 2 nastrój mój poprawiał się z powodu szczęśliwego ocalenia oraz poczucia, że jestem wolny od wszelkich obowiązków. Postanowiłem poświęcić się ratowaniu siebie samego. Pomimo upadku Okręgu 2, wśród walczących nie było widać objawów załamania. Zdecydowałem więc, że za widna nie będę szukał dojścia do Wisły, bo wymagało to przekroczenia ulicy Wilanowskiej i wędrowania poprzez teren mi nie znany i nie dający wystarczającej osłony. Przeprawy przez rzekę - dowiedziałem się - odbywały się z plaży pomiędzy Wilanowską a Zagórnią.

W ciągu trzydniowego pobytu na Okrąg 2 przywykłem do otoczenia wysokich murów, egzystencji na dnie pięciopiętrowej studni, uregulowanego trybu życia oraz poruszania się na maleńkim obszarze, niemal całkowicie osłoniętym stropami. Teraz widok

otwartej przestrzeni i wysokich, poszczerbionych domów, górujących samotnie i w grupach nad zadymioną równiną płaskich ruin napawał mnie lękiem. Wszystko zdawało się wibrować.

Przechodząc przekopem obok szczytowej ściany wielkiej kamienicy minąłem zwłoki leżące na noszach. Nic szczególnego nie było w zmarłym oraz z faktu porzucenia go. Uderzyło mnie tylko, że nie zabrano noszy, których zawsze brakowało. Najwidoczniej bitwa osiągnęła taki stopień nasilenia czy przesilenia, że nie było celu przenosić rannych z miejsca na miejsce.

Oparłem się dopiero w masywnym domu po parzystej stronie Wilanowskiej. Budynki tutaj wyglądały solidnie, choć nie tak okazałe jak Okrąg 2. Wspomnienia paru następnych godzin zatarły się całkowicie. Nie wiem, dlaczego nie udałem się na brzeg Wisły po zapadnięciu ciemności, może pod wpływem zasłyszanych informacji o warunkach przeprawy na Saską Kępę. Jak przez mgłę przypominam sobie, że przechodziłem obok zwłok na noszach więcej niż jeden raz. Od paru dni obijało mi się o uszy, że domy o małych numerach po parzystej stronie Wilanowskiej przechodziły z rąk do rąk, a zwłaszcza dwunastka czy dziesiątka. Posuwając się ku Wiśle zanadto zbliżałem się do Niemców. Zawróciłem więc, zapewne nie od razu, gdyż pamiętam, że ostatni raz przechodziłem obok zwłok na noszach już o zmroku. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że zmarnowałem trzy drogocenne dni na Okrąg łudząc się, że to już koniec Powstania. Tej nocy, gdy doczołgałem się na Okrąg, a także następnej, można było Wisłę przepłynąć względnie bezpiecznie, kajaków było w bród w stosunku do ilości chętnych. Zapewne większość rozumowała podobnie jak ja. Po co przepływać rzekę, narażając się przy tym, skoro wojsko z Pragi przeprawiło się do Warszawy. Obecnie - mówiono - Niemcy kładli zaporę ogniową na wodzie oraz na plaży po obu stronach i oświetlali rakietami nasz brzeg. Jednak nie wszyscy informujący byli w tym samym stopniu pesymistami, słyszało się czasem i na odwrót, że łodzie kursują regularnie między Saską Kępą a Solcem.

Część nocy spędziłem poszukując miejsca do spania. Było to bardzo żmudne zajęcie. Nie wolno uwalić się byle gdzie. Gubiłem się po ciemku w labiryncie korytarzy ogromnego budynku, starając się odnaleźć tę część podziemi, którą uważałem za bezpieczniejszą na podstawie ostatnio zasłyszanych, często sprzecznych wiadomości. Postanowiłem ulokować się od strony Wisły, czyli od wschodu, lub od południa, to znaczy od ulicy Zagórnej, którą nadal mieli obsadzać

Polacy. Opowiadano, że w przeciwieństwie do Wilanowskiej, na Zagórnej jest dobrze.

Nowoczesne domy wzdłuż ulic Wilanowskiej i Zagórnej stanowiły jakby równoległe ramiona podkowy wrzynające się w głąb stanowisk niemieckich aż po Czerniakowską. To pierwsze ramie, północne, było dłuższe i masywniejsze. Łuk podkowy opierający się o Wisłę tworzyła linia kruchych domków wzdłuż Solca. Z przyległej plaży przeprowiano się na Saską Kępę. Wewnątrz podkowy, w labiryncie niskich ruin i zgliszcz, grasowała artyleria, granatniki i snajperzy. Był to wystarczający powód, aby nie przechodzić na nieparzystą stronę Wilanowskiej, gdzie zaczynał się labirynt i skąd odpływały łodzie. Jeszcze na Okręgu wiedziałem, że Niemcy wdarli się w ruiny pomiędzy Zagórnią i Wilanowską. Główne siły berlingowców, wyposażone nawet w artylerię, jakoby miały walczyć na Zagórnej. Żałowałem, że uciekłem stamtąd na Okrąg, z deszczu pod rynną. Nasłuchiwałem się też różnych wieści o walkach w porcie Czerniakowskim oraz na Ludnej i o zajęciu cypla przez desant z Pragi. W rezultacie trudno mi było wyobrazić sobie jak przebiegała linia frontu, zwłaszcza że zwykle posługiwano się numerami domów.

Samo poruszanie się w piwnicy nastroczało wiele trudności. Najbezpieczniejsze miejsce, korytarz, najbardziej był zatłoczony. Komórki też były zapchane. Przeszłowałem, cofałem się, balansowałem na jednej nodze, następowałem, potraçałem, przepraszałem; wysłuchiwałem rad, abym się nie pchał, że nie ma miejsca, że noc jest do spania. Jak zwykle kontakt z życiem piwnicy od razu mnie przygnębił. Jedyne wolne miejsca pozostały na węglu. Wygrzebałem sobie niszę przy ścianie i z większych kawałków ułożyłem na skraju legowiska osłonę przed odłamkami. Nim zasnąłem, przyszło mi do głowy, aby sobie wygrzebać kryjówkę pod węglem bądź też odrzuciwszy węgiel przy ścianie aż do podłogi, przysypać się w ostatniej chwili cienką warstwą. Jak tu się przysypać samemu? A jeśli ktoś odda mi tę przysługę, potem może mnie wydać Niemcom, aby ocalić swą skórę. Węgiel był sypki i palny, nie nadawał się na budowę schronu, niemniej myśl ta świdrowała mi w głowie nieustannie, bo naprawdę nie było gdzie się schować.

Z nastaniem dnia opuściłem legowisko, zanotowawszy w pamięci numer piwnicy 13 na wypadek, gdyby przyszło mi spędzić tu jeszcze jedną noc, i na po wojnie. Ta chęć zapamiętania często mało znaczących szczegółów nie opuszczała mnie do końca.

Wracając do powiedzenia Churchilla, że *nothing is so invigorating*

as being shot at without result, w tym momencie odważyłbym się zakwestionować absolutną słuszość tych słów. Najwidoczniej Churchilla musnęło mniej kul niż mnie. Z czasem, niekończące się cudowne ocalenia, zamiast dodawać mi wigoru, przywoływały na pamięć tych, którym się nie udało. Obecnie przybywało mi energii tylko wtedy, gdy do innych strzelano bez rezultatu. Nie wiedząc o tym, stałem już na progu ostatecznego etapu, kiedy każdy strzał odbiera wigor.

Po doświadczeniach na Okrąg 2 postanowiłem nie afiszować się z moją przeszłością i utrzymać właściwy dystans w stosunku do walki zbrojnej. W poszukiwaniu jedzenia udałem się na wyludnione górne piętra, posuwając się w razie potrzeby na czworakach. Nie potrzebuję dodawać, jak bezowocne były moje wysiłki i ile mi to czasu zabrało. Poświęcałem wiele czasu na rozpoznawanie terenu, unikając okien, zwłaszcza wychodzących na zachód i północ. Nawet bez jedzenia mogłem jeszcze te parę dni bez trudu wytrzymać. Schudłem jednak porządnie, ale nie czułem się szczególnie słaby. Przeszukawszy wiele kuchni i spiżarek, znalazłem torbę pełną mąki i zszedłem na dół. Sporo ludzi wysunęło się z piwnicy na klatkę schodową, kto miał, ustawił żelazny piecyk. Większość, nie chcąc czekać w długim ogonku do piecyków, zaimprovizowała paleniska z paru cegieł i roznieciła ogień na kamiennych stopniach. Pitrasili zupy, wrzucając do wrzącej wody cokolwiek popadło. Usiadłem na schodach w kolejce do piecyka bardzo z siebie zadowolony, ostrząc sobie zęby na mehlzupkę. Niektórzy stawiali na ogniu ogromne gary pełne wody. Z oczywistych względów nie można było podsycać zbyt wielkich płomieni, więc ogonek posuwał się powoli. Gdy murami wstrząsała eksplozja lub gdy pociski, skowycząc i gwizdząc, przelatowały kluczem w pobliżu, ludzie cofali się do piwnic. Za chwilę wychodzili i zajmowali swe poprzednie miejsca w ogonku. Ktoś się zainteresował, co mam do jedzenia.

- Mąkę.

- A wodę pan ma?

- Nie mam.

- No to jakże będzie pan gotował?

Ktoś zlitował się i nalał mi parę szklanek do garnka, który przyniosłem z góry. O tym, że nie było żadnego źródła wody i że wypijano resztki zapasów, dowiedziałem się dopiero w kolejce. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby w Polsce mogło zabraknąć wody. Byłem już drugi w ogonku do piecyka, gdy ciekawska kobieta

zajrzała mi do torby.

- O mój Boże! Cóż pan tu ma? Przecież to bielidło!

Zawstydzony, odsunąłem się jak najszybciej, nim się inni na mnie obejrzeni. Gdybym się tak prędko nie wycofał, może by mi kto dał parę łyżek zupy. Mąka od razu wydawała mi się za bardzo biała. Nawet próbowałem jej między palcami, czy aby nie jest śliska, ale skóra, zgrubiała od brudu i czołgania, musiała stracić czucie. Moją pierwszą reakcją była myśl, że może chcą mąkę ode mnie wycygnąć. Odszedłem na bok, położyłem szczyptę mąki na język - oczywiście, bielidło. Wypiłem wodę, którą mi dano na zagotowanie zupy, i znowu wypuściłem się na górne piętra. Teraz, gdy sztukasy prawie wcale się nie ukazywały, wyższe piętra uważałem za bezpieczniejsze. Większość obrońców znajdowała się na parterze, z czego Niemcy musieli sobie zdawać sprawę.

W czasie Powstania pierwszy raz w życiu miałem nieograniczony dostęp do cudzych mieszkań z prawem plądrowania. I tym razem, jak zwykle, dało mi to wyostrzone poczucie wolności, choć względy bezpieczeństwa ograniczały swobodę ruchów. Znalazłem słoik pełen miodu, którym się zaraz uraczyłem.

Resztę dnia spędziłem obchodząc stanowiska na piętrach i gawędząc z powstańcami „Radosława”. Opowiedziałem, z pewnymi uzupełnieniami, o wczorajszych wypadkach na Okrąg 2, i jak się ocalałem. Nie licząc paru nieistotnych szczegółów, dodałem, że pocisk z czołgu eksplodował w bramie wzbijając tuman kurzu, z czego ja i ten drugi powstańców błyskawicznie skorzystaliśmy wybiegając na ulicę. Z bramy nikt się po nas nie wydostał, Niemcy ich wyrąbali itd. Ku memu zaskoczeniu jeden ze słuchaczy, który orientował się w sytuacji na Okrąg 2, sprostował, że wieczorem tego samego dnia Polacy odbili front domu, odrzucając Niemców za Czerniakowską; wycofali się jednak o świecie, bo brakło ludzi na obsadzenie wszystkich stanowisk. Do tej chwili wydawało mi się, że opuściłem Okrąg 2 jako jeden z ostatnich. Poczuję się, jakby mi ktoś wsadził szpilkę w najmniej oczekiwane miejsce. Parę już razy przekonałem się, że w rozmowach w żołnierzami „Radosława” należy być ostrożnym z nadmiernym dramatyzowaniem wydarzeń. Przyzwyczaiałem się do łatwego łupu wśród cywilów i miejscowego wojska. Z tragiczną historią o ugniatarce nie poszło mi lepiej. Ledwo dojechałem z opowiadaniem do momentu, gdy Adamczyk pełzając rakiem nagle zniknął pod ziemią, powstańców z „Parasola” z obandażowaną głową przyznał się, że to on strzelał z erkaemu biorąc

nas za Niemców, gdyż nie mieliśmy opasek. Rzeczywiście, ja nie miałem opaski, a tylko niemiecki hełm, za to byłem w jesionce. Adamczyk i chłopak byli po cywilnemu i bez nakrycia głowy. Roman nosił mundur Wehrmachtu z opaską biało-czerwoną, ale też był z gołą głową. Piąty z nas, zastrzelony powstaniec w mundurze Wehrmachtu, nie miał czapki. Niemcy mogli uciekać bez czapek, ale na pewno nie atakowali z gołą głową. Możliwość, że wszystko, co przeżyłem tego najstraszniejszego jak dotąd dnia mego życia, spowodowane było tym, że ktoś się zagapił czy niedowidział pod słońce, odrzuciłem jako brednie człowieka postrzelonego w głowę. Dowiedziałem się od nich, że włącz znajduje się obok Wilanowskiej 5. Opowiedzieli mi też, jak łatwo odbili jeden z domów po parzystej stronie ulicy na wprost wjazdu. Dali salwę, skoczyli i Niemcy uciekli. Niespodzianki na tym nie skończyły się. W czasie którejś tam wizyty zaprzyjaźniony powstaniec powitał mnie słowami:

- Zastłona dymna nad Wisłą.

Najostrożniej jak mogłem zerknąłem na przedpole raz i drugi, ale poza odległą linią kamienic nic nie zobaczyłem, ani Wisły, ani zerwanego mostu, ani nawet dymu. Za to taki grzechot broni maszynowej dochodził stamtąd, jakby to już nie była wojna, ale konkurs, kto prędzej wystrzela amunicję. Zgodziliśmy się, że chyba coś się zaczęło na większą skalę. I tak spędziłem na Wilanowskiej, jeśli nie miły, to w każdym razie dzień bez historii, plądrując bez sukcesów i gawędząc o pustym brzuchu.

Dopiero w latach sześćdziesiątych, poznawszy pełną niedokładności pracę „Powstanie Warszawskie” Borkiewicza, zacząłem wątpić. Według niego Okrąg 2 padł osiemnastego, a zaraz potem tego samego dnia, to znaczy po południu, Niemcy wtargnęły na Okrąg 4. Chciałbym sprostować ten okrucieństwo historii. Rodziców i brata, którzy w ślad za mną i wbrew mej radzie uciekli ze Śniegockiej i resztę Powstania spędzili w domu przy ulicy Okrąg 4, Niemcy wyciągnęli wczesnym rankiem, a więc chyba dziewiętnastego.

Sam zresztą przestałem się orientować i interesować czasem. Jakaż to różnica, czy był to czwartek czy niedziela, siedemnasty czy dwudziesty, wrzesień czy nie wrzesień. Prawdopodobnie czas odgrywał podobną rolę w życiu mojego przodka sto tysięcy lat temu. Jedyne, co się liczyło, to położenie słońca na niebie. Dzień stał się zbyt wielką niepraktyczną jednostką czasu w porównaniu z przeciętną długością życia na obszarze pomiędzy Wilanowską a Zagórną. Odpowiadał raczej latom, jeśli nie dziesięcioleciom. Nigdy

przeszłość i przyszłość nie zajmowały tak mało miejsca w moich myślach. Obie bez reszty pożarła terażniejszość. Po Edku, Hance, Witku, rodzicach, bracie pozostały nikłe cienie. Powoli przestawało mnie obchodzić, czy kogokolwiek kiedykolwiek zobaczę.

Według Borkiewicza i pamiętników żołnierzy „Radostawa” w dniu 19 września Wilanowską 18/20 zwała się pod uderzeniem bomb, a dwunastkę przejściowo opanowali Niemcy. Domu nr 16 nie było, z czego wynika, że cały dzień 19 września spędziłem pod numerem czternastym. Inaczej podzieliłbym los kilkuset rozstrzelanych lub zasypanych. Najwidoczniej tak długo, jak podmuch nie rozwiewał włosów na mej głowie, wydawało mi się, że jest spokojnie.

Tymczasem gen. Bór-Komorowski podzielił się swymi myślami z powstańcami i ludnością Warszawy w rozkazie dziennym z 19 września:

„Walka z Niemcami w Warszawie dobiega końca... wytrwaliśmy przez 7 tygodni i wytrwamy do czasu wkroczenia do stolicy zwycięskiej Armii Czerwonej... aby odtworzyć Polskie Siły Zbrojne i na niemieckiej ziemi wziąć odwet za wszystkie krzywdy, pohańbienia i straty, jakie nam zadali germańscy zbrodniarze. Dla osiągnięcia tego celu musicie przemóc zmęczenie walką”.

Rozkaz ten nie dotarł do obrońców Czerniakowa. Najoczywiej gen. podpodobnie jak my wszyscy, nie zrozumiał, że w siódmym tygodniu Powstania Biały Dom i Kreml wykonały tylko gest pomocy Warszawie dla celów propagandowych.

Zmierzchało, więc wróciłem do piwnicy. Zastona dymna zmieniała moje plany przeprawy przez Wisłę. Wyglądało to na duży desant. Po zapadnięciu ciemności coraz więcej staromiejskich powstańców ścigało do piwnicy. Przykleiłem się do nich. Obok przekomarzali się ci z „Zośki”... coś o strzelaniu w piwnicy. Chodziło o to, że mur gdzieś zakręcał półkolem, kule rykoszetowały i można to było jakoś wykorzystać. Domyśliłem się, że mówili o zaokrąglonym dziobie Okręgu 2, do którego po ataku „goliatów” wskoczyli Niemcy. Krytyk wytykał kolegom, że powinni byli rzucić granat w taki sposób, aby odbiwszy się od krzywizny, potoczył się Niemcom pod nogi. Ton rozmowy przypominał te brydżowe dyskusje, gdy gra się cztery, leży bez jednej i wychodzący strofuje partnera.

- Czegoś, do cholery, nie przebił pikiem?

Wielu staromiejskich powstańców zgromadziło się na korytarzu niedaleko trzynastki. Coś się szykowało, inaczej znaleźliby sobie wygodniejsze miejsce, zamiast tu, na betonie, drzemać w kucki.

Mimo że się przedstawiłem jako kapral Krok, nie puścili pary z ust. I owszem, słyszeli o „Chrobrym” i o Arsenale,

o Pasażu Simonsa, ale na tym rozmowa utknęła.

Wycofują się? Przebijają się? Dlaczego? A co z desantem? Nic nie mogłem zrozumieć. Przyszło mi do głowy odnaleźć Misia, który chyba nie weźmie mi za złe - myślałem - że w tym bałaganie się zgubiłem i nie wyzwie mnie od dekowników. Jak mu wytłumaczę, że przez półtora dnia nie zdołałem odnaleźć swojego oddziału? Trzymając się „Radosława” miałem największą szansę uratowania się. Zresztą nie będę dla nich teraz balastem, niewielu ich zostało i potrzebują uzupełnień. Przy przebijaniu każdy doświadczony żołnierz się liczy. Nasłuchawszy się wymijających odpowiedzi, przemogłem obawę i spytałem, czy podchorąży Miś żyje.

- Było dwóch Misiów, o którego ci chodzi?

- Znałem tylko jednego.

- Jeden był wysoki i szczupły, drugi niski.

- Wysoki.

- Dopiero co odszedł, niedługo wróci.

Czekałem i czekałem. Na korytarzu obok nich nie było gdzie usiąść. Stać dłużej nie miałem już sił, mogłem zemdleć i rozbić sobie głowę. W takim stanie opłaca się dać rok życia za godzinę snu, ale cena zwykle bywa wyższa. Więc przemówiłem do nich jeszcze raz:

- Jestem też powstańcem ze Starego Miasta, tak jak wy, biłem się na Okręgu u Księcia, Miś poświadczy. Dajcie mi znać, gdybyście się wycofywali, położę się w piwnicy nr 13, tuż obok - wskazałem ręką.

- Nic nie wiemy o wycofywaniu, ale w razie czego damy ci znać.

- Ułożyłem się na węglu w mojej niszy, pojadłem miodu, słoik postawiłem pod ścianą, aby się nie zgniół w kieszeni palta. Szmer głosów niósł się piwnicami. Kobieta obok z dezaprobatą wspominała, że powstaniec z łączniczką kochali się w piwnicy, nie krępując się, iż ktoś ich zobaczy. Druga wystąpiła w ich obronie:

- Niech im tam będzie, ile im tam życia zostało.

Dotknęła mnie ta klasyfikacja: my, cywile, i oni, powstańcy. Wyczułem niechęć i zaniepokoiłem się.

Ktoś inny opowiadał, jak Niemcy rozstrzelali trzy dziewczyny na Wilanowskiej. Dziewczyny? Dziewczyny? - zastanawiałem się - a co z mężczyznami? Niby to spałem, ale wiedziałem, że jeśli zechcę, w każdej chwili mogę otworzyć oczy. Nasłuchiwałem. Parę razy musiałem zasnąć na dobre, jakbym tracił przytomność i spadał w

głąb studni... zrywałem się z lękiem i wyglądałem na korytarz.

Ocknąłem się bardziej rześki, pospałem sobie dłużej. Cisza mnie wystraszyła. Wyskoczyłem na korytarz. Tam, gdzie siedzieli powstańcy, paliło się przedtem parę świeczek. Teraz było ciemno. Zapytałem apatycznych cywilów o żołnierzy i zatłoczoną piwnicą popędziłem we wskazanym kierunku. Korytarz skończył się, musiałem zdecydować się, w prawo lub w lewo.

Pustka, nie było się kogo poradzić. Znowu pobiegłem i na skrzyżowaniu korytarzy wpadłem na grupę ludzi, którzy przestępując z nogi na nogę, debatowali i rozglądali się za wyjściem w kierunku Wisły. Przez otwór w ścianie zauważyłem, że noc już ustępowała. Znalazł się taki, co znał rozkład przekopów i barykad. Pośpieszyliśmy za nim piwnicą, korytarzami, schodami, aż znaleźliśmy się na skraju urwiska. Dom się kończył, jakby go odrąbał toporem. Dalej nie było gdzie iść. Zaczęliśmy nerwowo naradzać się. Przewodnik wyjaśnił, że należy wrócić do piwnicy i próbować innym przejściem. Zaraz rozwidni się, pomyślałem. Jeszcze parę minut życia pozostało, potem będzie tylko czekanie na egzekucję.

Krzyknąłem, by mi pokazali, która strona domu wychodzi na Wilanowską i sam, nie oglądając się na nikogo, oknem wyskoczyłem na ulicę i skosem przebiegłem na drugą stronę. Było jaśniej niż wewnątrz murów. Minąwszy dużą kamienicę pędziłem pośród szarówki, jak przez mgłę, przeskakując szyny i blachy, okrążając kupy gruzu, klucząc wśród niskich ruin, aż dopadłem wielkiego leja. Wewnątrz, oparłszy na krawędzi pepesze, półkołem leżeli berlingowcy.

- Pierwszy granatnik ich zmiecie - pomyślałem.

Tuż za lejem stał parapiętrowy dom-willa, Wilanowska 5. Obejrzałem się, nikt za mną nie pobiegł z Wilanowskiej 14.

Szybko zasięgnąwszy języka, podążyłem dalej. Ruinami w prawo, w lewo i wyszedłem na podłużne podwórze, gdzie leżało kilkanaście kajaków. Nigdy tu nie byłem. Na prawo wysoka szczytowa ściana i przyklejony do niej wypalony domek, na lewo garaże, na wprost parterowa oficyna z bramą pośrodku, przez którą widać było wodę. Za jasno, aby wypuszczać się na rzekę.

Zmarnowałem dwie noce na Wilanowskiej. Pomyślałem: wybiorę kajak w najlepszym stanie i odłożę na bok, odczekam do zapadnięcia ciemności i powiosłuję na tamten brzeg. Obejrzałem kajaki, niektóre postrzelane, ale kilka było w niezłym stanie.

Obok garaży stały dwa granatniki. Wdałem się w rozmowę z ich

obsługą. Chciałem zobaczyć, jak się strzela, ale amunicja już się skończyła. Zagadałem tego żołnierza, który mówił po polsku, o jego frontowe doświadczenie. Uczyniłem to nie tylko z ciekawości, która wracała, ilekroć humor mi się poprawiał, ale także w celu podtrzymania ducha bojowego walczących. Berlingowiec powiedział, że długo już służył na froncie, ale nigdzie nie było tak ciężko, jak tu.

- Gdzie byłeś? - zapytałem.

Wymienił kilka miejscowości w centralnej Rosji, które widocznie miały wyjątkową reputację w armii sowieckiej. Jedna nawet była mi znana z ciężkich walk. Wyraziłem zdziwienie, po części prawdziwe, aby go zdopingować do dalszych wynurzeń.

- Tu jest gorzej niż w Stalingradzie - stwierdził.

Bardzo mi to pochlebiło. Niechby tak posmakowali Starówki - pomyślałem. Zdumienie musiało się odmalować na mojej twarzy.

- Nie wierzysz?... U nas taki jest, co był w Stalingradzie. Krzyknął na żołnierza, który po drugiej stronie podwórza majstrował przy małej radiostacji:

- *Grisza! - Gdzie huże, zdieś ili w Stalingradie? [Gdzie gorzej, tu, czy w Stalingradzie].*

- *Zdieś huże!*

Szybko się zorientowałem, że nic do przegryzienia nie dostanę, bo sami nie mają, i pożałowałem miodu, który został na węglu. Będę potrzebował sił, gdyby przyszło przebyć rzekę wplaw. Było już zupełnie widno. Rzężąc niezwykle głośno, nadleciał pocisk i wyrznął o kilkadziesiąt metrów od nas w stronę Niemców.

- *Nasza artilleria bije* - wyjaśnił berlingowiec.

Wciąż rozmawialiśmy, gdy za minutę czy dwie znowu zawyło i pocisk uderzył odrobinę bliżej, a za nim jeszcze jeden i jeszcze jeden.

- Niech Grisza zamelduje, że po nas biją - krzyknąłem rzucając się na ziemię. W tym momencie błysnęło w rogu podwórza. Wczołgałem się do jednej z przegródek garaży bez dachu, gdzie stały ciężkie platformy konne do przewożenia mebli. Zastałem tam już cywilów, którzy musieli wpełznąć po pierwszym wybuchu. Zdołałem tylko częściowo wcisnąć się pod platformę, za to całą głowę udało mi się wsunąć pomiędzy koło i cywilów, choć w tych warunkach lepiej, żeby ci poszarpało mózg niż łydki. Boki i tył zabezpieczały mi murowane przegródki. Jeszcze usłyszałem jak krzyczał ranny, chyba Grisza. Ledwo jeden pocisk eksplodował, następny nadlatywał. Brakło czasu, by przebiec te kilkanaście kroków do oficyny. W pierwszej

chwili pomyślałem, że to wyjątkowo ciężkie granatniki. Jeśli który uderzy w grubą platformę, to może eksploduje przy dotknięciu i nie przebije jej. Łudziłem sam siebie, dobrze o tym wiedząc. Pociski spadały niesłychanie wolno, z okropnym już nie wyciem, ale charkotem, nie jak granatniki, które nieraz wpierw poczujesz, nim usłyszysz. Zgrzytało, jakby żwir eksplodował. Jedna myśl świdrowała mi w mózgu - dlaczego nie zostałem na Wilanowskiej 5. Z każdym nadlatującym pociskiem ciało mi tężało. Coś okropnego działo się ze mną, doświadczałem takich mdłości, jakbym był pełen wymiocin. Pył i swąd spalin trotylu wypełniły garaż. Musiałem wierzyć po każdym wybuchu, że to już ostatni, inaczej bym nie wytrzymał. Pył powoli osiadł, wiatr od rzeki rozwiął smród trotylu. Wypełzłem spod platformy i biegiem do oficyny. Parę kajaków odłamki poszarpały w strzępy. Gadałem z berlingowcami zamiast zaciągnąć kajak pod dach i warować przy nim do nocy. Rozejrzałem się tymczasem, gdzie by tu przeżyć resztę dnia. Z jednopiętrowego frontu domu przy Solcu 53 już się dymiło. Parterowa oficyna, gdzie na razie się zatrzymałem, składała się z dwóch pomieszczeń przedzielonych bramą. Na lewo znajdowała się kuchnia, na prawo duży pokój, do którego znoszono rannych w panterkach.

- Tu jest miejsce tylko dla rannych z „Parasola” - wołał powstaniec, też w panterce.

Wyszedłem, nim mnie wygonili. Kuchnię wypełniał tłum ludzi. Nie było żadnej osłony. Niech tylko podejździe czołg, dwoma strzałami w okna załatwi wszystkich w środku - pomyślałem. Zszedłem do piwnicy, było tam tylko miejsce stojące na schodach. Rozpacz mnie ogarnęła, nie ma gdzie się ukryć do nocy. Ta rudera rozsypie się po paru uderzeniach, spali się. Sufit nie wytrzyma nawet ciężkiego granatnika. Zdecydowałem wracać na Wilanowską 5, choć znajdowała o 30-40 metrów bliżej Niemców.

Po drodze, gdy mijałem garaże rozglądając się za jakąś bezpieczną szczeliną w wypalonej ruinie, zobaczyłem Romana. Szedł dziarsko z karabinem pod pachą, jak ja kiedyś. Chciałem go zawołać, ale wstrzymałem się. I co mu powiem, żeby wrzucił mundur w ogień, ukrył się razem ze mną, a nocą poczołgamy się jak dawniej. Nie zrozumie, spojrzy na mnie z góry z pogardą, jak ja dawniej patrzyłem na innych. Jeśli mnie posłucha, będzie o jednego obrońcę mniej. Gdy wahałem się, zniknął w bramie oficyny. Przyginając się za niskimi murkami, podszedłem prawie do samej klatki schodowej Wilanowskiej 5, a ostatnie parę kroków otwartej przestrzeni

przebiełem skokiem. W odróżnieniu od domu przy Solcu 53 ranni żołnierze nie stanowili tutaj bezwzględnej większości. Widok pogotowia bojowego umocnił we mnie podejrzenie, że Wilanowską 5 znalazła się w pierwszej linii obrony; rozproszył także złudzenie, że wybrałem najlepsze miejsce, by przetrwać do nocy. Zwłaszcza iż nie było tu powstańców „Radosława”.

Za jedno z możliwych rozwiązań uważałem oficjalną kapitulację. W tym wypadku Niemcy zapewne daliby spokój ludności cywilnej, najwyżej dobiliby rannych. Zapomniałem o wczorajszej zasłonie dymnej, musiało się nam coś przywidzieć. Przybiełem w porę, zaraz bowiem rozpoczął się ogień artylerii i granatników. Dom z rzadka dygotał, więc zszedłem do piwnicy. Nie było tu gdzie przysiąść, do tego zakręciło mnie w brzuchu i musiałem gdzieś się wypróżnić. Wróciłem na parter. Kręciło mnie w brzuchu coraz bardziej, nie wiadomo dlaczego. Ostatni raz jadłem na Okręgu dwa dni temu, tuż przed atakiem „goliatów”, a potem miałem w ustach jedynie kilka łyżek miodu. Zamiast wyjść za potrzebą na piętro, gdzie chyba nikogo nie było, ale które zapewne snajperzy i kanonierzy mieli na oku, powziąłem decyzję załatwienia się gdzieś bliżej ziemi. Parter też był zatłoczony. Postanowiłem więc przeskoczyć do pobliskich ruinek leżących po drodze do garaży, odległych zaledwie o parę kroków. Jak zwykle otwarte przestrzenie, choćby najkrótsze, przebywałem bardzo szybko. Drzwi, którymi wybiegłem z klatki schodowej, wychodziły nie na Wilanowską, ale na tyły willi w stronę Zagórnej, obok wielkiego leja po bombie.

Nim zdążyłem odpiąć pasek, uderzył granatnik. Rozpłaszczyłem się przypuszczając, że to nie przypadek, że mnie zauważyli. I rzeczywiście. Poszła cała seria, wzbijając tumany popiołu i prochu wysuszonej półtoramiesięcznym upałem ziemi. Zapewne granatniki były wycelowane na tyły domu i tylko czekały na okazję.

Gdy przycichło, żołądek znów się odezwał. Rozejrzałem się za miejscem odpowiednim do kucania. Potem znowu położyłem się w przewidywaniu, że albo im się znudzi czekanie i jeszcze raz dołożą po ruinach, albo wycelują gdzie indziej. Znajdowałem się w miejscu dobrze osłoniętym między dwoma murkami, wyższym od strony Niemców, niższym od Wisły. Na podstawie różnych drobnych obserwacji wywnioskowałem, że granatniki leciały nie pionowo z nieba, ale pod ostrym kątem, więc szansa, aby który spadł wprost na mnie, była znikoma. Miałem więc czas zastanowić się nad nowym położeniem. Zostałem odcięty w paśmie ruin pomiędzy Wilanowską 5

a garażami, bez stropu nad głową. Musiałem spędzić tam dobre pół godziny na bezludziu. Przez cały ten czas nikt nie przebiegł, choć tędy wiódł szlak do Solca 53 i Wisły. Zdecydowałem w końcu wracać do domu pod numerem 5. Podsunąłem się jak najbliżej pod osłonę muru, dałem susa do środka i od razu przykleiłem się do ściany, z obawy przed odłamkami. Zrobiłem to z takim pośpiechem, że berlingowiec, który przyglądał się tej operacji z klatki schodowej, wrzasnął na mnie, wytykając mi małoduszność, jeśli wręcz nie tchórzostwo. Nie próbowałem sprostować poza tym, że odkrzyknąłem:

- Granatniki!...

Granatniki jednak nie spadły, berlingowcowi udało się tym razem, a stał prawie w drzwiach. Cały ten epizod dodał mi ducha. Nie tylko dlatego, że zmarnowali kilkanaście pocisków, aby przeszkodzić nieuzbrojonemu w sraniu. Nawet nie dlatego, że było to potwierdzeniem, iż opatrność ma mnie w swej szczególnej opiece. Najwięcej wigoru dodało mi szczere oburzenie prostego żołnierza na widok mojej ostrożności, którą wziął za lękliwość.

Kanonada przybrała na sile. Patrząc przez okna w kierunku Zagórnej, widziało się kurzawę spowijającą niskie ruiny. Podniósł się gęsty ogień broni maszynowej z tamtej strony, odpowiadały serie z naszego domu, co mnie upewniło, że Wilanowską 5 znalazła się w pierwszej linii obrony. Na razie zatrzymałem się na parterze w przedpokoju bez okien, z którego dwoje drzwi prowadziło do pokoi, gdzie stali nasi z pepeszami. W tyle okna wychodzącego na Wilanowską stał niemłody berlingowiec, wysokie, chude chłopisko, mierząc w kierunku, skąd o świcie przybiegłem. Widziałem go wielokrotnie w ciągu dnia i zapamiętałem. Zwiedzając pobojuwisko w lutym 1945 roku, zaszedłem i na Wilanowską 5. W jednym z pokoi podłoga zapadła się do piwnicy, a na gruzie leżał żołnierz.

Wydało mi się, że to był on.

Zbiegłem do piwnicy. Odcinek klatki schodowej u wylotu zewnętrznych drzwi przeskakiwałem zawsze z maksymalną szybkością. Bezładna początkowo strzelanina nabrała rytmiczności.

Dom dygotał. Sufit kruszył się przy silniejszych uderzeniach.

Wilanowska 5 musiała być solidnie zbudowana, ale przy Okrąg 2 wyglądała jak karzełek. Dookoła sypały się granatniki w takiej ilości, że chyba nie było miejsca, gdzie by nie zacinały odłamki. Nagle kanonada artylerii urwała się. Po grzechocie broni maszynowej i suchym trzasku granatów ręcznych orientowałem się, jak blisko

Niemcy podeszli. Potem przycichło i z mniejszym ryzykiem można było przeskakiwać między parterem a piwnicą.

W piwnicy przez tłum przepychali się łącznicy i oficerowie krzyżąc, żeby się odsuwać; przeklinając i wyzywając, jeśli przejście było zatarasowane. Zrobiło mi się niedobrze od gorąca, zaduchu i okropnej zgagi po miodzie. Nie miałem wody w ustach od wczoraj rana, gdy wypilem swój przydział na ugotowanie mehlzupy. Musiałem wyjść na górę, aby nie zemdleć. Na parterze wydawało się luźniej, w rzeczywistości mało pozostało wolnej przestrzeni, gdzie by odłamek i kula nie sięgnęły. Wielu rannych, nieuzbrojonych i walczących było chętnych na te bezpieczne miejsca.

W czasie którejś tam nawały ognia artylerii schroniłem się w przedpokoju bez okien. Wszystkie kąty były już zajęte, docisnąłem się, jak mogłem, do ściany. Zabrakło już bezpiecznego miejsca dla trzech jeńców, którzy stanęli pośrodku przedpokoju u wylotu dwojga drzwi. Od początku Powstania nie widziałem Niemców aż z tak bliska, toteż wzroku z nich nie spuszczałem. Gdy myśmy przy każdym wybuchu kulili się i przyciskali do ściany, oni trzej stali nieporuszeni. Myślałem: cieszą się, dumni są ze swoich, przeżyją i opowiedzą, jak to tu było. Na pewno słuchem poznają, że ich koledzy znajdują się o kilkadziesiąt metrów. Zdawało mi się, że jeńcy są ogniem pośrednim pomiędzy nami a resztą świata. Wziąć ich adres - przemknęło mi przez głowę - spotkamy się po wojnie. Zbierałem się coś do nich powiedzieć... „*schwere Strassenkämpfe*” [Ciężkie walki uliczne], a może lepiej „*Häuserkämpfe*” [Walka o domy], tak jak pisano w komunikatach wojennych o Stalingradzie.

Po serii wybuchów, gdy dom chwiał się i drżał jak od kopnięć podkutym butem olbrzyma, jeden z Niemców zwrócił się do eskortującego powstańca, który tulił się do ściany:

- *Was soll ich machen jetzt?* [Co mam teraz robić?] - chyba kpił.

Nie wiem, co bardziej dawało mi się we znaki, zgaga po miodzie czy pragnienie. Już rano usta i gardło miałem suche, język jak przysłowiowy kołek. Robiło się coraz bardziej gorąco, zacząłem doświadczać uczucia, jakbym się dusił. Wodę wypitą wczoraj rano musiałem już dawno wypocić z powodu upału i podenerwowania. Wydało mi się, że nie wytrzymam do nocy i postanowiłem zrobić wypad po wodę. Dwoje schodów prowadziło na górę. Jedne szerokie z parteru na piętra, przy zachodniej zewnętrznej ścianie domu; drugie kuchenne, wąskie, z zejściem do piwnicy, przyległe do południowej ściany. Wybrałem te ostatnie jako bezpieczniejsze.

Okna klatki schodowej były tak wielkie, że czołganie mogło tyle zaszkodzić, co i pomóc. Zdecydowałem się na system mieszany: przeskoczyć, przeczołgać się, jeśli parapet wystarczająco wysoki lub położyć się, odczekać i znużyć przypuszczalnego snajpera, i znowu skoczyć. W ten sposób dotarłem na drugie piętro. Im wyżej, tym większe były szanse znalezienia czegośkolwiek do picia. Dom, skąd mogli mnie wypatrzeć, znajdował się na skos po drugiej stronie Wilanowskiej. Poszukiwania trwały długo, ponieważ przed każdym krokiem musiałem szczegółowo rozeznaczyć się w terenie. Na czworakach przeszukałem parę kuchni i łazienek, aż znalazłem miednicę, a w niej sporo gęstej brei - tynk z wodą. Odciągnąwszy ją na korytarz, wyssałem ile się dało, i tą samą drogą wróciłem na parter. Z krótkim gwizdem spadały pociski eksplodując bardzo blisko, nie wiadomo komu przeznaczone, Niemcom czy nam.

Nagle zobaczyłem Wisa II (dwóch Wisów było u Lisa; sądziłem, że obu zasypało w Pasażu). Siedemnastolatek, cichy, nieśmiały, drobny. Ostatnio, na Starówce, nosił rękę na temblaku. Teraz szedł w dół szerokimi schodami, lekko stąpając, pewny siebie, spokojny, w panterce, z odkrytą głową, kasztanowe włosy rozsypane na skroniach, okręcony taśmą kaemu.

- Wis! - zawołałem. Spojrzał i poznał mnie, pomimo jesionki.

- Wis! Wis! - chciałem mu coś powiedzieć.

I chciałem go ostrzec, jak starzec syna, i dumny byłem z niego. Ścisnęło mnie w gardle. Jeszcze nie dotknął stopą parteru, gdy przegrodzili nas berlingowcy. Podskoczył doń podoficer.

- Brawo, brawo, sześciu leży - zawołał.

Ledwo mu kącik ust drgnął. Kanonada wzmogła się. Wis zawrócił na piętro, ja zszedłem do piwnicy. Poczujęm się jak szmata, zabrakło mi odwagi wziąć go za rękę i razem pójść na górę. Czyżby nie rozumiał, że to już koniec.

Najbardziej przerażało mnie przekonanie, że tylko ja jeden wiedziałem prawdę, iż znikąd nie ma ratunku. Tak czy owak... czapa. Wszyscy inni zdawali się na coś liczyć, że jakoś tam będzie, że łódzie, że Rosjanie, że nie wszystkich rozstrzelają. Ja też musiałem na coś liczyć, inaczej poprosiłbym o pepeszę. I co by mi to dało! Bezimiennie zginąć z bronią w rękę, zamiast bezimiennie dostać kulą w kark, bezimiennie spalić się żywcem, bezimiennie utonąć. Chodziło o to, aby nie umrzeć w najbliższej godzinie, żyć z minuty na minutę. Przeżyć do zachodu słońca równało się osiągnięciu nieśmiertelności, jakby noc miała trwać wiecznie.

Nie mogąc znaleźć stojącego miejsca bliżej środka piwnicy, usadowiłem się u stóp kuchennej klatki schodowej, przy samych drzwiach, obok piwnicznego okienka. Nie było tu równie bezpiecznie jak w głębi, w sumie jednak wyszło mi to na dobre, gdyż w porę zauważyłem ppor. Jelenia.

Raz po raz żołnierze biegli schodami. W jasnozielonych polskich mundurach, w feldgrau, na wpół po cywilnemu, z gołą głową, w rogatywkach, furażerkach, beretach, w gladiatorских hełmach z wyskrobaną swastyką. Wykrzykiwali meldunki lub przepychali się przez tłum, który na widok łączników ścieśniał się, aby zrobić wolne przejście. Już poprzednio domyśliłem się, że musiało tam być jakieś dowództwo. Okazało się, że radiostacja.

Kapitan, oficer berlingowców i oficer AK w berecie, w którym rozpoznałem ppor. Jelenia, przeczesywali piwnice zatrzymując się niemal przy każdym. Gdy zbliżyli się, zrozumiałem, o co chodziło. Sprawdzali rannych żołnierzy i, jeśli rana wydawała się niegroźna, kazali iść na górę. Na moich oczach kapitan wyłuskał dwóch berlingowców z postrzałami głowy. Próbowali się wykręcić narzekając na zły stan zdrowia, ale poszli posłusznie jak baranki. Ranni powstańcy także szli prawie bez szemrania, wystarczyło spojrzeć Jeleniowi w oczy. Nikomu nie musieli przystawiać rewolweru do brzucha. Jeden wyławiał berlingowców, drugi akowców.

Odwrociłem twarz, przegiąłem się w pasie i udało mi się schować głowę za drzwiami tak, że tylko jesionkę było widać. Ktoś poważniej ranny stał przede mną i nie zwrócili uwagi na cywila z tyłu. Z zasłyszanych rozkazów odgadłem, że berlingowców wysyłali na górne piętra, a Jeleń zbierał sobie grupę do przeciwnatarcia. Choćby z powodu nieustannie spadających granatników pomysł opuszczenia domu wydał mi się niedorzeczny. Położenie zaostrzyło się do tego stopnia, że wszelkie poruszanie się, nawet wewnątrz budynku, było niewskazane. Należało walczyć, gdzie kto stał. Jak tylko niebezpieczeństwo minęło, wcisnąłem się w głąb piwnicy, aby się ukryć gdzie indziej na wypadek, gdyby obaj oficerowie wrócili. Nie było tu luźniej niż przedtem, więcej rannych siedziało i leżało. Gdy kto zasłabł, przekładano go do komórek z oknami wychodzącymi na ulicę lub na podwórze, aby nie tarasował dojścia do radiostacji. Dlatego ważne było, żeby utrzymać się na nogach.

Biorąc pod uwagę ogólną sytuację, w piwnicy panował porządek. Może i dlatego, że nie było cywilów. Gdy żołnierze przepychali się do

radiostacji, ranni dociskali się do ścian, robiąc miejsce gońcom. Jako że otwartych przestrzeniach nie można było przebywać bez wielkiego ryzyka, z pobliskich ruin wykrzykiwano meldunki do załogi parteru, a ta z kolei przekazywała głosem dalej w dół lub górę. Stojąc u podnóża schodów, powtarzałem w głąb piwnicy to, co wołali stojący powyżej mnie na stopniach: o rannych, poległych, o poruszeniach czołgów i nieprzyjacielskiej piechoty; o tym, że potrzeba tego czy owego, że ten czy ów ma się stawić tu czy tam. Meldunki wędrowały przez tłum, z parteru do piwnicy i z powrotem, jak olimpijska pałeczka. W ten sposób ranni, rozbitkowie i dezertrzy przykładali się do usprawnienia obrony.

Wypuściłem się w drogę do radiostacji, gdzie także musiało być jakieś dowództwo, aby znowu nie być ostatnim, do którego dochodzą ważne wiadomości. Z uwagi na rannych wymagało to bardziej żmudnego manewrowania niż przeciskanie się przez zatłoczony tramwaj. Oczywiście, nie rozumiano, dlaczego cywil pcha się tam, skąd nie ma wyjścia. Robiono uwagi pod moim adresem. Ludzie chwiali się, ziali na siebie gorącym oddechem. Niedługo, może pół godziny po zakończeniu branki, usłyszałem wołania:

- Porucznik Jeleń ranny!... Porucznik Jeleń ranny!...

Doświadczyłem uczucia grozy, że przed wieczorem zabraknie obrońców.

Główny korytarz skończył się, skręciłem w lewo. W maleńkiej komórce z okienkiem pod sufitem siedział telegrafista, sam na sam z radiostacją. Ktokolwiek odważył się postawić nogę na progu, odpędzał go warknięciem:

- *Dawaj nazad. [Cofnij się, wynoś się.]*

Rzadziej oficer, zazwyczaj żołnierze wpadali, informując o położeniu Niemców. Zajrzeli dwaj rozgorączkowany berlingowcy w poszukiwaniu wielkich przeciwpancernych granatów - czołg wjechał na ich stanowisko i ugrzązł pomiędzy ścianami, można go było ręką dosięgnąć. Coraz to ktoś przepychał się wzdłuż szpaleru nieuzbrojonych z hiobowymi wieściami, żądając tego czy owego. Zapewne musiał tu być do niedawna magazyn czy dowództwo.

Poprzez próg, jakby przez dziurkę od klucza, oglądałem panoramę niewidocznej bitwy. Telegrafista nie rozumiał polskiego, powstańcy nie mówili po rosyjsku. Stojąc tuż za progiem słyszałem, co mu meldowali i zacząłem tłumaczyć na rosyjski, którego nauczyłem się na Puszkynie i „Zmartwychwstaniu” Tołstoja. Gdy wyczułem, że radiotelegrafista przywykł do mego widoku, tłumacząc wsuwałem się

do komórki, a skończywszy cofałem poza próg. Powtórzyło się to kilka razy, aż zostałem na dobre.

Pierwszy raz w życiu mówiłem po rosyjsku do prawdziwego Rosjanina.

Tak szybko po sobie następujących uczuć rozpacz i radości dotąd nie doświadczyłem. Cykl rozpoczęła niemiecka artyleria. Potem wpadał łącznik oznajmiając zbliżanie się czołgów i piechoty. Rozpętywała się furia automatów, pękały granaty ręczne. Telegrafista, włożywszy słuchawki, łączył się z Pragą, kręcił gałkami. Monotonnym głosem powtarzał:

- *Jasłon, Jasłon, Jasłon. Priom, priom, priom. Kak słyszysz ty mienia, kak słyszysz ty mienia...* [Odbiór. Czy mnie słyszysz].

Coraz to przerywał, pewnie słuchając tamtej strony.

- *Ja słyszu tiebia choroszo, ja słyszu tiebia choroszo...* [Słyszę cię dobrze].

Po tym przydługim wstępie, gdy lękałem się, że nim skończy, granat wturla się do komórki, przystępował do sedna rzeczy:

- *Niemcy nastupajut, Niemcy nastupajut, idiot piechota z tankami, podawajtie ahoń...*

Tu następowały liczby.

- *Siemdzieszat piat', sorok wosiem... siemdzieszat piat', sorok wosiem...*

I o dziwo, zaraz nadlatywały stadka pocisków, świszcząc, gwizdząc, ćwierkając. Ziemia drżała.

Telegrafista uniósł nieco głowę i oczy nasze spotkały się. Dotąd ani słowem do mnie się nie odezwał. Wpadł łącznik wołając:

- Dobrze, dobrze!

- *Choroszo...* - przetłumaczyłem.

Telegrafista włożył słuchawki.

- *Jasłon, Jasłon, priom, priom, podawajtie ahoń...*

Zameldował, że dobrze biją, po czym wyłączył się, zdjął słuchawki i znieruchomiał. A ziemia drżała i drżała... jakby sam Pan Bóg zagniewany nadmiarem krzywd stanął po stronie słabszych batalionów i zagrzmiał. Ktoś wcisnął się wołając, że Niemcy cofają się.

- Niech dadzą ogień sto metrów naprzód.

- *Sto mietrow w period* - przetłumaczyłem.

Załóżyl słuchawki i zaczął swoje:

- *Jasłon, Jasłon, priom, priom...*

Wymawiał ahoń, a nie ogoń, jak to się uczyłem na prywatnych

lekcjach rosyjskiego. Nie wiem, dlaczego zapamiętałem to „Jasłon”. Widocznie się przesłyszałem, bo czytając po wojnie wspomnienia uczestników walk nigdzie nie znalazłem, aby któraś z dwóch radiostacji identyfikowała się w ten sposób.

- *Kak słyszysz ty mienia? Kak słyszysz ty mienia?*

- Ja słyszu tiebia choroszo, ja słyszu tiebia choroszo.

- Podawajcie ahoń sto metrow w period... sto metrow w period.

I znowu gwizdało nad głowami, huczało i ziemia drżała. Potem przycichło, choć nie na długo. W przerwach telegrafista jakby zapadał w letarg. Budził się z odrętwienia natychmiast, gdy ktoś wsunął nogę za próg. Wówczas unosił głowę i warczał:

- *Dawaj nazad - aż winowajca cofnął się.*

Ton głosu i wyraz twarzy miał taki, że nie musiał powtarzać trzy razy. Odzywała się niemiecka artyleria. Wpadał łącznik wołając o wsparcie. Telegrafista zakładał słuchawki. I znowu nadawał:

- *Jasłon,... priom,... mienia,... tiebia,... choroszo,... piechota z tankami...ahoń... ahoń... jasłon... priom.*

Denerwowałem się, o ile można było jeszcze bardziej denerwować się w tej sytuacji, ilekroć odłożywszy słuchawki, nieruchomiejąc pochylony nad radiostacją, zamiast popędzać artylerzystów na Pradze. Mijały minuty. Telegrafista z rzadka ożywiał się na chwilę, zdmuchiwał pył z radiostacji i usuwał palcem okruchy tynku. Cały czas stałem nieruchomo, wciśnięty w kąt obok drzwi jak miotła, aby zbyt swobodną postawą i zachowaniem nie podrażnić telegrafisty.

Tuż za progiem stała zbita, falująca masa mężczyzn, nikt jednak nie odważył się wejść. W komórcie upał i zaduch mniej dokuczał niż w korytarzach piwnicy. Choć jesień była za pasem, słońce za dnia przypiekało jak w środku lata, a pożary i eksplozje też musiały podnosić temperaturę.

Gdy byłem powstańcem w służbie czynnej, nigdy nie informowano mnie o tym, co się dzieje. Prawdę poznawałem na własnej skórze. Teraz, będąc dekonikiem, usadowiłem się w centralnym punkcie dowodzenia.

Koło historii domu przy Wilanowskiej 5 zaczęło zataczać ten sam krąg po raz nie wiem który owego dnia - i nagle utknęło. Wypowiedziawszy magiczne słowa wezwania telegrafista odłożył słuchawki i zastygł. Mijały sekundy, minuty. Praga nie odpowiadała. Znowu wpadli żołnierze, tak przywykli do wsparcia artylerii, że bez tego żyć nie mogli.

Telegrafista pokręcił gałkami i zaczął od nowa wyklepywać

rytualne słowa:

- *Jasłon, Jasłon... aż doszło do... idiot piechota z tankami, idiot piechota z tankami... Niemcy наступajut, Niemcy наступajut... podawajtie ahoń, podawajtie ahoń...*

Czekaliśmy, ja w wielkim napięciu, już przywykłem, że artyleria posłusznie sypała pociskami.

- *Szto słucziłoś? [Co się stało?]* - spytałem.

Odpowiedzi nie zrozumiałem, czy nie dosłyszałem. Podnieceni łącznicy wołali, że czołgi na nich wjeżdżają. Po raz trzeci wzywał Pragę:

- *Jasłon i jasłon... priom i priom... kak słyszysz mienia... ja słyszu tiebia...*

- *Idiot piechota z tankami - podawajtie ahoń niemiedlienno, niemiedlienno [Naciera piechota z czołgami - natychmiast ognia].*

Mówił szybciej niż zwykle, pierwszy raz okazując zdenerwowanie. Wtem zaświstało, zahuczało, a ziemia zadrżała i drżała, i drżała... Telegrafista, który dotychczas zachowywał się jakby mnie nie dostrzegał, uniósł głowę sponad radiostacji i spojrzał mi w twarz. Nie mogliśmy ukryć radości, zdawało mi się, że obaj uśmiechnęliśmy się oczami. Przycichło. W komórce ściemniło się nieco. Musiało się mieć ku zachodowi. Kapitan armii Berlinga wszedł i kazał się połączyć z drugą stroną Wisły. Spojrzał na mnie, ale nie kazał mi się wynieść. Dotąd go nie widziałem, zrobił na mnie wrażenie twardego oficera. Prosił o pomoc, mówił coś o łodziach. Nawet mnie zdziwiło, że nie posługiwał się szyfrem. Rozmowa przeciągała się, najwidoczniej nie mogli dogadać się. Na końcu padło słowo „zawtraka”, musiałem się przesłyszeć, nie ma takiego w języku rosyjskim.

- *Szto on skazał [Co on powiedział], zawtraka, no szto eto?* - spytałem telegrafisty, gdy kapitan wyszedł.

- *Zawtra budiet sliszkom pozdno [Jutro będzie za późno]* - wyjaśnił telegrafista.

Teraz moje życie zależało od tego, kto pierwszy dopadnie kajaków. Jednak dla bezpieczeństwa postanowiłem odczekać, aż się wystarczająco ściemni na dworze. W piwnicy rozluźniło się. Opuściłem komórkę i wyszedłem na parter. Obok leja skoczyłem w ruiny i pomknąłem w kierunku Solca. Za chwilę znalazłem się przy garażach na podwórzu, pośrodku zgliszcz, gdzie o świcie zaskoczył mnie ogień artylerii.

Parterowa oficyna Solec 53 stała nie uszkodzona jak rano, za to palił się front domu od strony Wisły. Od razu podbiegłem do kajaków.

Jeśli którekolwiek przetrwały w stanie używalnym, już je zabrali inni. Pozostałe miały tyle dziur, że po krótkich oględzinach zrezygnowałem z tego środka przeprawy. Nie wszyscy od razu dawali za wygraną. Odciągali kajak w „bezpieczne miejsce”, w kącie podwórza i przystępowali do naprawy. Na każdy dwuosobowy kajak wypadało po kilku reperujących. Pomyślałem, co to się będzie działo, jeśli im się uda załatać dziury.

Po jakimś czasie grupa za grupą zaprzestawała pracy. Zakleiwszy jedną dziurę odkrywali następną. Zresztą z góry wątpiłem, czy po rannym ostrzale artylerii cokolwiek zostało z kajaków. Niektóre były całkowicie rozszarpane, a że wszystkie leżały obok siebie, to i najlepsze musiały być w kiepskim stanie. Porzucone kajaki zwracały uwagę nowych przybyszów, którzy rażno przystępowali do reperacji, dopóki nie zorientowali się, że psu na buty się to nie zda. Załedwie jedna grupa zaprzestała, inni podejmowali naprawę.

Nieraz widzi się, jak mrówka mocuje się z olbrzymim ciężarem zaczepionym o źdźbło trawy, umęczy się i odejdzie. Przyjdzie następna, zaczyna od początku.

Z zapadnięciem ciemności na niebo wyleciały kukuruźniki. Powolny terkot urywał się nagle, gdy wyłączały motor i po długiej chwili odzywał się zupełnie gdzie indziej. Mówiono, że Niemcy boją się ich ogromnie, bo nurkowały bezszelestnie jak szybowce i upuszczaly małe bombki, gdziekolwiek pojawił się znak życia, nawet na żarzący się papieros. Kukuruźnik wolno przeleciał nad naszymi głowami, cały widoczny w blasku pożarów, a z pozycji niemieckich nie padł ani jeden strzał.

Mrok rozjaśniała czerwona poświata. Poza dopalającym się frontem domu Solec 53 żarzyło się tu i ówdzie, a wysoka szczytowa ściana na wprost garaży odbijała blask niewidocznych płomieni. Z zapadnięciem ciemności cisza nastala taka, że gotów byłbym uwierzyć w zawieszenie broni, gdybym już nie doświadczył tego poprzednio. Podczas gdy tłum kłębił się wokół kajaków, zalegał podwórze przed garażami i bramę domu Solec 53 w oczekiwaniu łodzi z Pragi, ja przystąpiłem do wykonania planu, który zaświtał mi jeszcze na Wilanowskiej 5, kiedy czołgałem się po wodę.

Jasne było, że z tej masy ludzkiej niewielka cząstka znajdzie miejsce w łodziach i to tylko wtedy, jeśli zapanuje jaki taki porządek. Ranni i tak pójdą pierwsi. W realizacji swego pomysłu od razu natrafiłem na nieprzewidziane trudności. Nie było czym odkręcić koła od platformy, a wolnego koła oczywiście nie znalazłem.

Zmarnowawszy sporo czasu na myszkowanie po garażach w poszukiwaniu narzędzi omackiem, przeszedłem do drugiej wersji planu.

Nożem, zabranym jeszcze z Wilanowskiej 5, usiłowałem skroić oponę cienkimi plasterkami, aby oswobodzić dętkę. Po kilkunastu cięciach zrozumiałem, że z tą żmudną pracą, wymagającą cierpliwości i dokładności zegarmistrza, trzeba poczekać aż się rozwidni, i że życia mi nie wystarczy na jej wykonanie. Ostrze ledwo imać się guma. Już przedtem miałem wątpliwości czy jest to wykonalne, ale jak każdy tonący chwyciłem się brzytwy. Znowu poniewczasie przyszło mi do głowy, że kilka butelek utrzymałoby mnie na wodzie nawet w razie zasłabnięcia lub skurczu mięśni. Dwie litrówki wystarczyłyby. Butelki po oranżadzie nadawały się najbardziej, bo miały korek z gumową uszczelką i metalową klamrą, wokół której można było okręcić sznurek. Albo jeszcze lepiej, nawrzucać słoików do tornistra i przytroczyć go do pleców. Ale skąd wziąć butelki na tym pogorzelsku? Zajrzałem do kuchni w oficynie, gdzie było mnóstwo ludzi. Nic nie znalazłem. Ileż to butelek wszelkiego rodzaju walało się pod numerem czternastym, gdy myszkowałem za jedzeniem. Dopiero teraz uderzyło mnie, że nie widziałem ich pod piątym, gdy szukając czegoś do picia rozglądałem się i za butelkami. Ich brak wytłumaczyłem sobie po prostu faktem, że były potrzebne do roznoszenia wody z Wisły. Z pewnością dom przy Wilanowskiej 5 nadal znajdował się w polskich rękach, a jeśli nie?

Jego kontur, odległy zaledwie o pięćdziesiąt metrów, widoczny był z podwórza. Wracać, nie wracać, zastanawiałem się. Oddalanie się od rzeki w labirynt ruin, a potem przemykanie się z piętra na piętro w poszukiwaniu po ciemku butelek, których zapewne nie było, nie miało sensu. Nie ja jeden szukałem ocalenia w butelce. Cisza nie pozwalała zorientować się, którędy przebiegał front. Gdy będę myszkował po piętrach, na parter mogą wpaść Niemcy.

Cokolwiek robiłem, czy nie robiłem, nie opuszczała mnie myśl, że noc przemija i że nie mogę pozwolić, aby dzień mnie tu zaskoczył. Jeszcze o świcie, rozglądając się po okolicy z bramy Solca 53, zauważyłem, że zwalony most Poniatowskiego wisi na stalowych linach ledwie dotykając wody. Wspinając się po przęsłach, można by przejść na drugą stronę. Należało tylko przepłynąć od warszawskiego brzegu do pierwszego filara. Prowadząc gorączkowe rozmowy na temat mostu dowiedziałem się, że na Zagómej jest

„dobrze”. Od tyłu ludzi słyszałem to samo, że zacząłem wierzyć, iż musi być w tym ziarno prawdy, choć z Wilanowskiej na Zagórną było najwyżej pięć minut krokiem spacerowym. Jakby woda mogła mieć różne poziomy w naczyniach połączonych. W sumie te pocieszające wieści nie tyle dodawały mi otuchy, co wprowadzały dodatkowy zamęt. Nikt nie okazał zainteresowania przedzieraniem się do mostu odległego o 3/4 kilometra, za to znalazło się kilka osób gotowych ryzykować przejście na Zagórną. Natknąłem się jednak na powstańca, lekko rannego w ramię, który podobnie jak ja uważał przepływanie Wisły z Solca za nie rokujące powodzenia i także zastanawiał się nad mostem. Można się tam było dostać albo pieszo wzdłuż brzegu, co w normalnych warunkach zajęłoby około 10 minut, albo uczepiwszy się drzwi lub belki, dać się znieść prądowi wody. Brzeg po tej stronie był spadzisty, dość wysoki, co ułatwiało zadanie. Niemcom, których uwaga koncentrowała się na udaremnieniu przeprawy przez rzekę, nie przyszłoby do głowy, że ktoś może przepływać im pod samym nosem. Choć noc ledwo nastąpiła, należało się śpieszyć. Trudno było przewidzieć, jaką część drogi przyjdzie się czołgać. Byle tylko przed świtem przedostać się przez wolną przestrzeń wody do pierwszego filara. Na zwalonym przęsle można było odczekać do następnej nocy, wygrzać się na słońcu, wysuszyć, wyspać.

Zdenerwowanie ustąpiło miejsca przyptywowi twórczej energii. Powstaniec posiadał pistolet i żądał, abym i ja zaopatrzył się w broń. Inaczej nie chciał iść. Moje poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Znalazłem wprawdzie pepeszę, jeszcze za widna zapamiętałem, gdzie leżała, ale, niestety, uszkodzona i bez amunicji. Nie wiedziałem, do kogo się zwrócić o broń. Gdy zagadnąłem w tej sprawie kilku powstańców, spojrzeli na mnie jak na wariata. Na Wilanowskiej pod piątym, zdawało mi się, było więcej broni niż zdolnych i chętnych do jej noszenia, tutaj ani chętnych, ani broni. Nie widać było żadnego zorganizowanego oddziału.

Przyszła wieść, że łodzie podpływają.

Zrobił się ruch. Pomimo ostrzeżeń, by przedwcześnie nie wychodzić na brzeg, niecierplivi już się pojedynczo wymykali. Tłum pęczniał na podwórzu. Pod ścianami układano coraz więcej rannych. Straciłem z oczu powstańca, mego niedoszłego towarzysza wyprawy do mostu. Postanowiłem, że na odkrytą przestrzeń między Solcem a Wisłą nie wyjdę. Stojąc w drzwiach z bramy do kuchni, przyglądałem się, jak sznur ludzi przechodził, niemalże ocierając się o mnie.

Wynurzali się z mrocznego podwórza, szli przez bramę rozjaśnioną i rozgrzaną płomieniami i znikali w ciemności. Czego tam nie nieśli. Kajaki, łodzie, deski, wiązki drewna, dętki rowerowe okręcone wokół nagich torsów. Dziewczyny podpierały kulejących; mężczyźni nieśli rannych na noszach, na drzwiach. Coraz więcej uzbrojonych schodziło ku rzece. Coś we mnie krzyczało... nie idźcie, zginiecie, nie zostawiajcie mnie samego. W blasku ognia po raz ostatni rozbłyskiwały lufy, orzełki z koroną i bez korony, sprzączki fryzjerskich pasów, sprzączki z napisem „Gott mit uns”.

Poznałem kanoniera Sława, jednego z pięciu ocalałych z kompanii Lisa, kolegę z działonu działek 20 mm. Razem z dwoma innymi niósł kajak. Był równie zaskoczony jak ja, powtórzył parę razy:

- Krok, Krok. Co tu robisz?
- Jestem sam... masz wodę? - spytałem.

Sław podał mi manierkę. Pociągnąłem długi łyk.

- Pij, pij - rzekł Sław - myśmy już byli na brzegu.

Gdy tak staliśmy tarasując przejście, inni nas obchodzili przeciskając się pomiędzy kajakiem a ścianą, zaczepiając o nas, potracając. Nie można się było cofnąć pod prąd na podwórze.

- Chodź z nami na czwartego - zaproponował Sław. - Jeden siądzie na dziobie, jeden z tyłu.

Przyjrzałem się kajakowi - wywrotka i trzech nie uniesie. Mieli rondel do czerpania wody.

- Nie, nie idę.

Pomimo odmowy wciąż czekali, jak gdybym się jeszcze wahał.

- Masz co do jedzenia? - spytałem. Podał mi kostkę cukru.
- Nie idę - powtórzyłem.

Podnieśli kajak i poszli w ciemność. Przypomniał mi się mój niedoszły towarzysz przeprawy przez most. Ruszyłem na jego poszukiwanie. I za dnia łatwo było ludzi pomylić, a co dopiero teraz. Podchodziłem blisko do stojących w małych grupkach, zaglądałem w twarze, ten i ów zmierzył mnie wzrokiem, pewnie nie wiedząc, o co mi chodzi. Zapewne, gdyby czasy były inne, niejeden oburknąłby mnie lub obrugał. Obszedłem podwórze i garaże. Zdawało mi się, że ja jeden błąkam się samotnie, a każdy inny ma kogoś, towarzysza, przyjaciela. Z dala od płomieni powstańcy zrzucali z siebie niemieckie mundury, migali nagimi ciałami na wprost ognia. Ktoś ukazał się w spodenkach tylko, opasany wieńcem butelek i pobrząkując nimi, pomknął w ciemność ku rzece. Pustoszało. Ruch stopniowo ustawał i martwota objęła bramę, podwórze i oficynę. Za

to znad Wisły dochodziły głosy. Zrazu pojedyncze, przytłumione, z czasem coraz śmielsze, przeradzające się w gwar. Niekiedy nawet mogłem odróżnić słowa.

- Nie ma miejsca.

Ktoś ryknął:

- Cichooo... cicho, Niemcy usłyszą.

Siedziałem w bramie wpatrzony w niewidoczną Saską Kępę. Sądząc po wzmagającej się wrzawie, coś tam przeprawa nie szła. Wiadomo, co się dzieje w takiej sytuacji. Zbyt wiele osób wsiada, łódź nabiera wody, tonie, wszyscy wysiadają, wylewają wodę, znowu wsiadają, łódź nabiera wody...

Tymczasem dobrzy ludzie pozbiierali rannych cywilów z podwórza oraz przyległych ruin i znieśli ich do bramy, aby nie leżeli pod otwartym niebem.

I stało się to, co musiało się stać. Zagwizdało górą i poleciały salwy, jedna za drugą. Nieustannie były także granatniki. Iskry migały skosem na wprost wylotu bramy na Solec i Wisłę. Błyskało w ciemności. Skryłem się na wąskiej przestrzeni pomiędzy dogasającym piętrowym frontem domu a parterową oficyną. Na brzegu kotłowało się i kotłowało. Gdy ucichło, tylko parę osób wróciło.

Wyszedłem na podwórze przed garaże. Pusto tu było, mroczno, rudawo, jakby czerwony księżyc przeświecał przez chmury. Rano wpadną Niemcy, po krótkiej strzelaninie opór załamię się i rozpocznie rozwalka. Jak by tu się ulokować z dala od żołnierzy, razem z cywilami. Najlepiej by było wśród kilkunastu kobiet i dzieci i paru niemłodych mężczyzn. Znaleźć miejsce osłonięte, jak najbliżej Niemców. Gdy o świcie ruszą naprzód, wygarną nas, zanim rozpocznie się walka, zanim się rozwścieczą. Ukryć się z dala od Wilanowskiej 5 i Solca 53, gdzie było mnóstwo rannych i zdrowych powstańców, berlingowców i rozbitków w niemieckich mundurach. Obszedłem podwórze dookoła zaglądając w każdy zakamarek. Pomiędzy szczytową ścianą wypalonego piętrowego domu z oknami na garaże a ścianą szczytową przyległej ruiny, zwróconej w kierunku przeciwnym do podwórza Solec 51, odkryłem metrowej szerokości szczelinę. Była wystarczająco daleko od Wilanowskiej 5, ale zbyt blisko bramy oficyny.

Główną wadą szczeliny było to, że choć biegła przez prawie całą długość podwórza, kończyła się ślepo od strony zachodniej, skąd mieli nadejść Niemcy. Jedyne wyjście z niej znajdowało się od

wschodu, kilkanaście kroków od bramy. W takim ukształtowaniu terenu Niemcy mogli jednocześnie wygarnąć cywilów ze szczeliny oraz powstańców z oficyny i w zamieszaniu razem rozstrzelać. Nie mogli wziąć nas ze szczeliny, dopóki nie zdobyli oficyny. Podważało to cały koncept polegający na tym, aby dostać się w ręce Niemców rano, przed rozpoczęciem walki, oddzielnie od żołnierzy w oficynie. Nie znalazłem jednak żadnego innego miejsca nadającego się na kryjówkę. Nie pozostawało więc nic innego, jak skorzystać ze szczeliny i mieć nadzieję, że krótka odległość dzieląca szczelinę od oficyny przesądzi o naszym życiu.

Zawróciłem do oficyny i opisałem cywilom stłoczonym na schodach i w piwnicy zalety szczeliny. Jak mogłem najbarwniej przedstawiłem, co się stanie, gdy Niemcy wejdą i zobaczą powstańców i mnóstwo porzuconych mundurów. Słuchano z zainteresowaniem, ale, jak zwykle, nikt nie chciał się ruszać. W końcu jedna z kobiet w średnim wieku zgodziła się obejrzeć to zachwalane miejsce. Ledwo je zobaczyła, zachnęła się z oburzenia, że takimi pomysłami zawracam ludziom głowę.

Coraz to słysząc, jak dobrze jest na Zagórnej, zacząłem wątpić, czy właściwie czynię, nie idąc tam. Nikt jednak nie wiedział jak się przedostać na Zagórnię, ponieważ wszędzie po drodze zawadzali Niemcy.

Zostałem sam na podwórzu. Moja myśl, podobnie jak i ciało, poruszała się wewnątrz kurczącego się kręgu i już nie mogła wyjść poza zasięg wzroku, to znaczy podwórza okolonego pasmem zgliszcz, garażami i oficyną. Nawet domy przy Wilanowskiej 5 i 1, odrobinę rozjaśnione blaskiem ogni i odcinające się na tle gwiazdzistego nieba, wydawały się odległymi, niedostępnymi skałami na morzu. Gdybym wtedy wiedział, że jeszcze Polacy, a nie Niemcy, obsadzali kamienice o numerach 4 i 6, czułbym się swobodniej, bezpieczniej i kto wie, czy życie moje nie potoczyłoby się innym torem, może krótszym.

Edek wiedziałby, co robić. A może żyje, może jeszcze jest na tym brzegu, jak by go znaleźć? Czołgać się od ruiny do ruiny wzdłuż Solca, schodzić do piwnic i pytać się, czy nie widzieli trójki: jednego powstańca średniego wzrostu, o orlim nosie, kulejącego; drugiego wysokiego, chudego, czarniawego o lasce, może w czapce tramwajarskiej, może bez; i dziewczyny z obandażowaną głową.

Stanąłem na podwórzu, gdzie było najwidniej, wyjąłem z portfela dużą fotografię. Przysłała mi ją Krysia z Kielc. Twarz szesnastolatki,

ufryzowana, podretuszowana, uśmiechnięta, szyja przegięta. Nie widziałem jej od dwóch lat. Nie wie, gdzie jestem, gdyby tak wiedziała...

Patrzyłem i patrzyłem na fotografię.

Nadleciał wolno kukuruźnik. Pokrzyżył nisko, poleciał dalej i ucichł. Nagle znowu głośno zaterkotał nad domami. Zadarłem głowę. Wstąpił we mnie przebłysk otuchy. Oto tam siedzi pilot, chciałby nam pomóc. Czy widzi mnie? Lecz zaraz przyszła myśl: zawróci, za minutę będzie na tamtym brzegu, wyląduje u swoich, będzie żył, a ja tu zostanę sam.

Tu, gdzie teraz stoję, jutro staną Niemcy - mundury feldgrau, czarne wypustki i wyłogi SS... grynszpanowe mundury policji, ciemne otwory luf.

Niemcy będą wszędzie. Niemcy, Niemcy, Niemcy... Niektóre słowa powtarzały się bez udziału mej woli tyle razy, aż traciły wszelkie znaczenie.

To marzęm pomimo jesionki, to było mi gorąco. Pot mnie oblewał. Na podwórzu nie było bezpiecznie wałęsać się, cisza mogła się skończyć w każdej chwili. Zajrzałem do zatłoczonej kuchni.

Tyłu rannych zniesiono do bramy, że należało najpierw pomacać stopą, nim się ją opuściło. Jęczeli, postękiwali, kwilili, prosili o wodę. Wszedłem pomiędzy oficynę i front domu. Góra już się wypaliła, ale w piwnicy wciąż żarzył się koks. Usadowiło się tu kilku rannych powstańców i berlingowców. Rzadko kiedy ktoś się odezwał.

Usiadłem i spuściłem nogi do obmurowanego dołka przy piwnicznym oknie, aby się ogrzać w strumieniu unoszącego się tam słodkawego, ciepłego powietrza. Wpatrywałem się we wnętrze piwnicy. Zwał koksu żarzył się, choć już ciemniał pokryty gęstą siecią szarych żyłek. Błękitny płomyk coraz to wyskoczył na powierzchnię, zatrzepotał i chował się. Czasem przesuwiał się po szczycie koksu, jakby niewidoczne palce przebierały po klawiaturze. Choć miałem świadomość, że poza moimi plecami leży cały świat, to, co się działo w piwnicy, coraz bardziej przyciągało moją uwagę. Ciemne ściany i sufit tworzyły ramę zwróconej ku mnie sceny, na środku której płąsały ogniki. Przyszło mi na myśl, aby ten taniec zapamiętać; że kiedyś go opiszę. Płomyki były zwiewne, gibkie, lekkie i przekorne. Gdy oczekiwałem, że zatrzepoczą, płonęły równo. Niejeden zaczynał pirueta, z wielkim ferworem wirując w poprzek sceny, potem nagle zapadał się i tyle go było.

Patrząc wyobrażałem sobie, że już po wojnie całą tę scenę opowiem Ryśkowi, koloryzując i dramatyzując, a on uniesie cienkie brwi ponad drucziane okulary, zmarszczy czoło, brodę i pokiwa głową. Tak zwykle robił, gdy dla żartów udawał zdumienie.

Żołnierz berlingowiec przycupnięty obok potrząsnął mną.

- Odsuń się, zaczadziejesz.

Wzruszyłem się. Ktoś, kogo nigdy nie spotkałem i nie spotkam, sam ranny, zatroszczył się o moje zdrowie. Z lewej strony ranny podporucznik, też berlingowiec, zaciągając po kresowemu mówił wolno i z przerwami do łączniczki z „Parasola” z ręką amputowaną w przegubie. Dotąd nie zwracałem na nich uwagi... Obiło mi się o uszy:

- Wy jesteście bohaterską młodzieżą.

...i oto odczułem nieopisane szczęście... ustało drzenie i wygaś ten wewnętrzny płomień, który nie grzejąc spopielał. Sam siebie już uważałem za ochłap mięsa armatniego, a tu ktoś, kto także czeka na śmierć, nazywa nas bohaterską młodzieżą. Jeśli to mówi, najwidoczniej nie boi się tej dziwnej rzeczy zwanej śmiercią. Nie boi się, bo śmierć nie istnieje. Niby to istnieje, ale nie istnieje. Śmierć nie jest taka, jak każdy myśli, sam to od dawna podejrzewałem. Weźmiemy się za ręce i przejdziemy przez śmierć jak przez mgłę. Gdy strzelą i w piersiach zakłuje i cały świat zamruga, trzeba głęboko oddychać i za ręce trzymać się mocno... aby tylko nie upaść i przejść.

I kogo tam spotkam?... Siądziemy razem wokół ogniska we mgle...

Sami Niemcy się dziwią... nic się nie baliście, gdyśmy was rozstrzelowali... jesteście bohaterską młodzieżą, uśmiechają się zakłopotani.

Czuję, że mam mokre oczy. Ciało budzi się do życia.

Wraca drzenie i płomień wewnętrzny, co nie grzejąc spopiela i natrętna myśl... rozwałą mnie, rozwałą, rozwałą, tyle życia, ile nocy.

Chwilami usiłowałem łudzić się, że przyczółek przetrwa do zachodu słońca, a potem nastanie znowu długa noc. Wstałem i wróciłem do bramy. Próba znalezienia miejsca w piwnicy nie powiodła się, w najlepszym razie mogłem postać u szczytu schodów. Wcisnąłem się do kuchni. Przynajmniej był dach nad głową.

Początkowo starałem się przepchnąć do jednego z dwóch kątów, które znajdowały się poza zasięgiem kul wpadających od podwórza przez okno. Nie udało mi się, oba były ciasno ubite ciałami. Mężczyźni stali murem, nikogo nie dopuszczając.

Rozpoznałem starszego faceta od Lisa z drużyny roboczej, wciąż był w mundurze. Napomknąłem o moście Poniatowskiego, odpowiedział wymijająco. Zagadałem go na temat „Chrobrego”. Siedział na krześle. Miałem nadzieję, że jako koledze zrobi mi trochę miejsca. Zwróciłem się do paru powstańców z propozycją dotarcia do mostu. Wydało mi się pomimo mroku, że spoglądali na mnie, jakbym bredził. Jeszcze bardziej niż ja bali się odłączyć od stada. Mógłby tu przyjść Niemiec z nożem, i tak jak stali w zbitej masie, poderżnąć im gardła.

Wyteżyłem wzrok wypatrując powstańca, z którym mówiłem o moście jeszcze wieczorem. Nie mógł się zapaść pod ziemię. Przecież stanowczo oświadczył, że przeprowiać się przez Wisłę nie będzie. Gdybym w ukryciu przeczekał ze dwa dni, aż Niemcy oczyszczą teren i pójdą gdzie indziej, zostawiając tylko czujki - wówczas byłoby łatwo dotrzeć nocą do zwalonego mostu. Powoli przepychałem się do płaskiego pieca kuchennego, niepisanym prawem zarezerwowanego dla rannych, niezależnie od tego, czy funkcjonowały jakieś władze. Pomimo że nikt miejsca nie zmieniał, bo i dokąd, panował tu nieomal niedostrzegalny ruch ciał, podobnie jak wśród liści na stojącej wodzie. Dzięki temu z czasem dotarłem do celu. Ktoś, kto odrętwiał od siedzenia, nabrawszy do mnie zaufania, na krótko ustąpił mi swego miejsca na fajerkach. Mogłem, oczywiście, wyjść i ułożyć się wygodnie na podwórzu lub między oficyną a frontem, ale wówczas, wróciwszy, nie miałbym żadnej szansy na zajęcie bezpieczniejszego miejsca w kuchni. Pokój po drugiej stronie bramy nadal był przepelniony rannymi ze Starówki. Oficyna, poza domami Wilanowska 5 i 1, była jedynym miejscem ze stropem nad głową.

Nic nie wskazywało na to, jak szybko czas mijał, a spokój panujący, odkąd artyleria ucichła, dezorientował i paraliżował. Zresztą nie miało znaczenia, ile minut dzieliło nas od końca nocy, bowiem nie pozostało nic innego, jak czekać wschodu słońca. Nastanie dnia i tak nie przybliżało następnej nocy.

Staliśmy ciasno. Gdy jeden tracił równowagę, potraçał następnego, następny następnego i cała masa falowała od ściany do pieca. Robiło mi się niedobrze, czyżbym struł się wodą z Wisły pełnej trupów? Kompensując bezruch ciała, umysł nieustannie pędził w miejscu. Nie czułem nienawiści do Niemców, tylko strach. A może to wszystko okaże się okropnym nieporozumieniem i jakoś się wyjaśni? Nigdy nie będę miał żalu do Niemców, jeśli mnie wezmą do Reichu

na wieczne roboty. Mogę kopać rowy i okopy do końca życia, pod błękitnym niebem, w słońcu, wdychać rześkie powietrze od świtu do zmroku, a nocą spać. Gdyby mnie ktoś spytał, kim chciałbym zostać, gdzie żyć, kogo zobaczyć, nie potrafiłbym odpowiedzieć.

To rozpacz brała mnie w posiadanie, dlaczego zasiedziałem się na Okręgu, dlaczego straciłem dwie noce na Wilanowskiej. Mogłem wybrać najlepszy kajak, miałem czas zakleić najgorszy, okręcić się dętkami, obwiesić butelkami. Gdzie jest Edek, może żyje i kombinuje, on potrafiłby wepchnąć na łódź siebie i przyjaciół.

To myśl wracała do lepszych czasów, do Pasażu, ale obraz Pasażu kipiącego życiem przesłaniał Pasaż wymarły. Ciemno, pusto, cicho, Niemców nie ma, pod wielkim zwaliskiem leżą wszyscy oni...

Kuchnia. Tyle nieruchomych postaci w mroku. Na co oni czekają. Wiedziałem, że nas wszystkich zabijają, czułem jednak, jakbym tylko ja jeden miał przestać żyć.

Zabijają... zabijają...

Słowo „czapa” należało do innych czasów, gdy do śmierci podchodziło się bardziej po zawiadku.

Zabijają... za-bijają... za-bijają... za-bijają-za-bijają-za...

Mogłem zrozumieć tylko cudzą śmierć. W miarę, jak słowa „śmierć” i „zabijają” powtarzały się nieustannie w moich myślach, coraz mniej je rozumiałem, coraz bardziej mnie przerażały.

Czułem, że zemdleję, brakło mi powietrza. Przepchnąłem się z kuchni w bramę i po raz ostatni wyszedłem na podwórze. Ognie już wygasły, czerwona poświata ustąpiła ciemności. Jeszcze raz obszedłem dokoła szukając kryjówek, w nadziei, że może coś przeoczyłem poprzednio. Zaraz przy wyjściu z bramy na prawo była wolna, kilkumetrowa przestrzeń przegrodzona barykadką z bierwion, z widokiem na Wilanowską 1 w polskich rękach oraz na domy po parzystej stronie ulicy, gdzie, według mojego rozeznania, znajdowali się Niemcy. Dalej były garaże bez dachów, a za nimi w prawo przejście między ruinami na Wilanowską 5. Podwórze od zachodniej strony na wprost zamykały wypalone niewysokie mury, za którymi niedaleko musieli być Niemcy. Na lewo sterczał wypalony piętrowy domek, na jego tyle, szczelina.

Na próżno sprawdzałem każdy zakamarek. Zgliszczą niskich ruder, nie przewrócone bombami, a tylko nadgryzione pociskami, tworzyły niewielkie zwały gruzu, nie było pod czym się schować.

Czy stałem, czy siedziałem, czy chodziłem, wewnątrz mojego ciała było w nieustannym ruchu. Jakby mnie od środka mrówki oblażyły... w

palcach, policzkach, piersiach, w łydkach, wszędzie mrówki. Ciało rozklejało się, zanim je kule tknęły.

Noc zaczęła zmieniać kolor z czarnego na granatowy.

Wróciłem do bramy i stanąłem przy samym wyjściu na Solec. Przyglądałem się narodzinom dnia, jak gdyby to był wybuch góry ziejącej ogniem - urzeczony potęgą tego, co widziałem, i własną słabością.

Wisła, oba brzegi, Saska Kępa, lasy, stanowiły jeszcze jednolitą ciemną masę, ale nad widnokregiem już rozciągało się jasne, wąskie pasmo, które pełzło na boki, grubiało, sunęło od wschodu ku nam, wypierało gwiazdy. Kolor nocy przeszedł z granatowego w szary. A oto na ciemnym tle zajaśniało pasmo rzeki.

- Zachodu słońca nie zobaczę - pomyślałem.

Rozwidniało się szybko. Zawróciłem do środka. Nastrój poprawił się. Cywile powtarzali, że Niemcy do cywilów nie strzelają.

A oto młody mężczyzna w czystym ubraniu, jakby szedł na imieniny, poznać powstańca, dopiero co się przebrał. Opodal leżą niemieckie mundury z białoczerwonymi opaskami - w wystarczającej ilości, aby uzasadnić rozwałkę kilkuset osób.

Kobiecina ni to biegnie, ni to idzie od garaży do bramy oficyny za niską przesłoną ze szczap drewna. Parę kroków tylko. Bierwiono podskoczyło. Było tak cicho, że usłyszałem przytłumiony strzał. Kobieta nawet nie zauważyła, że to do niej. Wstrzymałem paru, którzy chcieli z bramy wyjść na podwórze. Niektórzy ludzie zachowywali się, jakby ich sam Pan Bóg miał w swej szczególnej opiece.

Świat znowu skurczył się... do kilkunastu kroków: kuchnia i brama.

Obok są jeszcze Polacy na Wilanowskiej pod piątym, pierwszym i w kilku parterowych ruderach przy Solcu.

Żołnierze wyginęli nocą nad brzegiem, obrona nie wytrwa do południa - myślałem. Na posesji przy Solcu 53 nie było uzbrojonych.

Zrobiło się już zupełnie widno, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Niemcy kończą śniadanie. Zaraz się zaczniesz i nie ustanie, aż będzie po wszystkim. W tyle za sobą usłyszałem słowa:

- ...wyjść do Niemców.

Odwrociłem się od razu, to cywile rozmawiali, mężczyzna z kobietą. Podeszedłem do nich.

- Każdy to gada, a wyjść się boi. Trzeba od razu - Niemcy zaraz uderzą.

Zeszliśmy do piwnicy. Cywile, ci, co nie musieli stać, siedzieli na

tobołach, jakby czekali na przesiadkę.

- Wychodzimy do Niemców, prędzej, prędzej, prędzej, zanim zaczną strzelać, potem będzie za późno, wrzucą granaty do piwnicy... nie brać walizek.

- Wychodzić! Wychodzić!

Strumień ludzi pchał się w kierunku wąskich schodów, na których staliśmy. Ruszyliśmy pierwsi, ja i mężczyzna, który razem ze mną agitował, za nami kilkadziesiąt osób. Wyrzuciłem nóż. Pomimo wielkiego poruszenia większość została w piwnicy, pewnie zadowolona, że się rozluźniło. W bramie powstał tłok, nie było gdzie stać.

Mnóstwo zmarłych leżało dookoła, byli to ranni, których wieczorem tu zniesiono, aby nie konali bez dachu nad głową. Otwarte usta, zaschnięta krew, wyszczerzone zęby, jedno oko przymrużone, drugie wytrzeszczone.

Zaczęło się targowanie, kto wychodzi pierwszy. Ci z tyłu pchali się, ci z przodu cofali. Sam też wolałem nie ryzykować jako pierwszy. Powstał mętlik. Coraz to ktoś czmychał z powrotem. Ludzie, którzy od półtora tygodnia żyli w piwnicy, od samego światła dziennego dostawali drżączki i zawrotów głowy. Gdy się obejrzałem, zostało tylko parę osób, potrzeba było więcej kobiet. Zawróciliśmy do piwnicy, ja i ten drugi. Nigdy dotąd nie przemawiałem do tłumu i to w obronie mego życia. Ze stopni zawołałem:

- Widzieliście te trupy w bramie, tak będziecie wyglądać, jeśli zaraz nie wyjdziecie.

- Podpalą, wrzucą granaty do piwnic, kto wytknie nos - zastrzelą.

- Kobiety też rozwalają, stare i młode... i wieszają.

- Niech tylko powstańcy zabiją Niemca, zobaczycie, co się stanie.

- Myślicie, że potem wyjdziecie z białymi płachtami. Nie zdążycie, dosuną z „tygrysa” i ta buda się zawali.

- Widzieliście, ile tu mundurów leży na ziemi, wiecie, co to znaczy?

Już nie pamiętam, czy mój towarzysz dzielnie mi sekundował, czy też ja jemu. Nie było czasu na polskie gadulstwo.

Znowu podniecenie ogarnęło piwnicę i kilkadziesiąt osób zgromadziło się w bramie, ale, jak i przedtem, nikt nie chciał iść pierwszy, zaczęli czmychać z powrotem do piwnicy. Stojąc z przodu, ale niezupełnie na przodzie, zwróciłem się do starszki:

- Niech pani idzie pierwsza, do starszej kobiety nie strzelą.

- Ja mam wnuczkę na wychowaniu.

Młodsze też się wykręcały, ktoś mi wcisnął do ręki biały ręcznik z czerwonym szlakiem. Błyskawicznie zastanawiałem się. Słyszałem od żołnierzy, że SS nacierało od Zagórnej, a Wehrmacht od mostu, trzeba iść na lewo w kierunku na Wehrmacht. Przemknęło mi przez myśl... na Okręgu w bramie strzelali do mnie, a nuż mnie który zapamiętał. Coraz to ktoś umykał do piwnicy. Rozpacz mnie poderwała. Pchnąłem się w pierwszy szereg. Ci, na samym przodzie, nie zdawali sobie sprawy, jak się z tyłu przerzedziło.

- Wychodzimy... wychodzimy!

Teraz dopiero zauważyłem dwóch powstańców z karabinami, zasiedli na krzesłach u wylotu na Solec, przed chwilą ich tam nie było. Sądziłem, że po nocnej próbie przeprawy nikt nie ocalał.

- Dokąd to? - oburknął jeden.

Zląkłem się, że nas nie wypuszczą. I żał mi się ich zrobiło, i wstyd. Pobiegało w bramie od poszewek, ręczników. W ostatniej chwili krzyknąłem:

- Skręcać do mostu, przy moście jest Wehrmacht, na Zagórnej jest SS.